



BIAŁA NA STARCIE

Zygmunt Mikulski

Trudna to sztuka śpiewać jazz

Jacek Grün

CO Z POEZJĄ?

Stanisław Jan Królik

OD PIERWSZEGO WEJRZENIA

Kazimierz Rosiński

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

ROK ZAŁOŻENIA 1933

W a m e n a

LUBLIN 29 VI 1975 Nr 13 (577)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

DNI MORZA

BOSMAN BUNDZIGA

Władysław Daniszewski

Neptun, mityczny władca mórz i oceanów przedstawiany jest jako starszy, nagi, brodaty jegomość, uzbrojony w potężny trójząb. Jeśli faktycznie Neptun rządzi na morzach i oceanach, to o wiele rozsądniej byłoby malować go w stroju przyjętym w kołach finansowych: w tuzurku, smokingu lub w dobrze skrojonym garniturze. W rękę powinien trzymać liczydła, klucz od kasy albo książeczkę czekową. Niewielu ludzi wyruszało w świat, na morza, dla zaspokojenia jedynie ciekawości lub platonicznej miłości przygody. Wszyscy, lub prawie wszyscy — aby się wzbogacić.

Ot, weźmy choćby statki handlowe. Te nawet postać przybierają najwygodniejszą dla wzbogacenia bankowego konta. Od nich z kolei zarażają się porty morskie, zmuszone do przyjmowania oceanicznych kolosów i możliwie najszybszego przeladowywania towarów, żeby tylko statek nie czekał zbyt długo na redzie i nabrzeżu, bo gdy czeka — to nie zarabia. Flota morska ma zarabiać, zarabiać i jeszcze raz zarabiać! Kto przewiezie szybciej i taniej jedną tonę ładunku, ten wygra konkurencję.

(Dokończenie na str. 8—9)



Będzie lato?

Fot. J. Rudnicki

Oto skansen?

Ireneusz J. Kamiński

7 CZERWCA ul. Kalinowszczyzna w Lublinie jechał autokar z grupą zagranicznych architektów, którzy przebywając od kilkunastu dni w Polsce, poznawali nasze budownictwo drewniane.

— A oto skansen — powiedziała pani przewodniczka, wskazując na mijaną właśnie, wysoką skarpe, na której bielił się dworek Wincentego Pola, przeniesiony na to miejsce i zmontowany kosztem jednego miliona czterystu tysięcy złotych. — Nie zapraszam jednak państwa do obejrzenia obiektu, albowiem jest on dopiero w stadium organizacji.

Pani inżynier wprowadziła w błąd naszych gości: skansen lubelski znajduje się w momencie likwidacji. Rozlatuje się instytucja, która nie zdążyła faktycznie powstać.

W 1951 roku pojawili się na Lubelszczyźnie trzej fachowcy od historii i sztuki: Stanisław Herbst, Lech Kalinowski i Adam Miłobędzki. Dokładnie obejrżeli miasteczka południowej części ówczesnego województwa, poszukując zabytkowej architektury drewnianej, która powinna — jeśli wierzyć Głogowski, Łopacińskiemu i Moszyńskiemu — okalać rynki. Wrażenia z tej wyprawy opublikował następnie L. Kalinowski w jednym z numerów „Ochrony zabytków”. W relacji znalazło się także zdanie: „stwierdzono sytuację zupełnie tragiczną”. Okazało się, że badacze nie znaleźli żadnego zwanego zespołu domów podcieniowych, satysfakcjonując się tylko pojedynczymi obiektami, które chyliły się na ogół ku ziemi.

W 1959 roku przyjechał do Lublina znakomity Ksawery Piwocki, który przed wojną był tutaj konserwatorem wojewódzkim. Wybitnemu uczonemu towarzyszyli dwaj równie wybitni znawcy kultury ludowej: Szwajcar z Bazylei i Szwed ze Sztokholmu — dyrektor słynnego skansenu, zainicjowanego przed laty przez Artura Hazellusa. Podobno Lublin przypadł im do gustu. Nie ceregieląc się zbyt długo, ale też postępując rozważnie i metodycznie wytypowali grodzisko na Kalinowszczyźnie jako teren przyszłego skansenu. To nie byli ludzie przeciętni, jacyś tam trzeciorzędni ciulacze faktów. To byli świetni fachowcy. Można zatem

(Dokończenie na str. 4—5)

UBIEGLY tydzień upłynął w Polsce pod znakiem wizyty prezydenta Francji, Valéry Giscard d'Estaing w naszym kraju po raz trzeci, choć po raz pierwszy w charakterze prezydenta.

W 1965 roku, jako członek gabinetu Georges Pompidou, piastujący funkcję ministra gospodarki i finansów, przyjechał do Polski niewielkim dwusilnikowym odrzutowcem „Myster 20”, który sam pilotował. Po raz drugi odwiedził nasz kraj w trakcie trwania Międzynarodowych Targów Poznańskich w kwietniu 1972 roku. Zwiedził wówczas ekspozycję polską, szczególnie interesując się przemysłem ciężkim. Jako zwolennik sportów wysoko ocenili nasze narty, zwracając jednocześnie uwagę na dobrą jakość innych polskich produktów.

Jego podpis widnieje pod kilkoma umowami handlowymi zawartymi między Polską a Francją: pod pięcioletnią umową (1965—1969), pod dwuletnią (1970—1972) i wreszcie pod umową, a właściwie — układem dziesięcioletnim o współpracy gospodarczej, przemysłowej i technicznej, podpisanym w Paryżu w szczególnej atmosferze: nad Sekwaną gościł wówczas Edward Gierek. Układ ten, zawarty na lat dziesięć (novum!) powołał także do życia międzynarodową komisję do spraw polsko-francuskiej współpracy gospodarczej.

W czasie ostatniego pobytu w Polsce już nie minister, ale prezydent Valéry Giscard d'Estaing złożył swój podpis obok podpisu Edwarda Gierka pod następującymi dokumentami: Kartą Zasad Przyjaznej Współpracy między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Republiką Francuską, deklaracją o zasadach i środkach rozwoju współpracy kulturalnej i naukowej, informacji oraz stosunków międzyludzkich między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Republiką Francuską oraz umową pięcioletnią między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Republiką Francuską o współpracy gospodarczej. Ta ostatnia znacznie rozszerza układ dziesięcioletni, podpisany w 1972 r. w Paryżu. Jak stwierdził w czasie konferencji prasowej prezydent Francji, stosunki polsko-francuskie w płaszczyźnie gospodarczej znacznie się rozwinęły, ale w tej dziedzinie można pójść o wiele dalej. Pragniemy, aby Polska stała się naszym wyjątkowym partnerem. Właśnie dlatego w porozumieniu finansowym wprowadziliśmy modyfikacje umożliwiające osiągnięcie sumy kredytów gwarantowanych, które Francja mogła przyznać na wielkie inwestycje polskie. Rzecznik prasowy rządu polskiego, Włodzimierz Janiurek, wyjaśnił, że Francja udziela Polsce nowego kredytu preferencyjnego w wysokości 7 miliardów franków — chodzi o sprzedaż urządzeń inwestycyjnych przez Francję do Polski w latach 1976—1978. Z kolei umowa dotycząca węgla i ułatwień finansowych dla polskich zakupów we Francji zapewnia naszemu partnerowi dostawy poważnej ilości węgla energetycznego i kokującego do 1997 roku.

Sprawy gospodarcze zajęły w toku rozmów poczesne miejsce, ale przecież nie tylko one stanowiły prawdziwe kryterium sukcesu spotkania.

Uderza, że podstawowy dokument zawiera w tytule słowo Karta Zasad Przyjaznej Współpracy, a nie Deklaracja Zasad. Komentatorzy, zwracając uwagę

na ten znamieny fakt stwierdzają, iż obie strony pragnęły nadać wzajemnym stosunkom specjalnie uroczysty charakter.

Warto też uwypuklić, iż Karta — w trosce o umocnienie pokoju światowego — wprowadza system stałych konsultacji politycznych między obu rządami i to na różnym szczeblu. Znaczenie ich, jak i znaczenie ostatnich rozmów w Polsce wykracza poza stosunki dwustronne. Charakterystyczne, że w Kartie znalazły się takie słowa: Obie strony (...) dokładać będą nie-

Można sobie wyobrazić, jak bardzo wzruszony był prezydent Republiki, gdy przybył do tego miejsca poświęconego ogromnym cierpieniem ludzkości, do miejsca, gdzie również zmarł jego teść. Nieprzypadkowo Valéry Giscard d'Estaing podjął tę pielgrzymkę do Oświęcimia właśnie 18 czerwca (rocznica słynnego apelu gen. de Gaulle'a do Francuzów). Dotychczas generał de Gaulle, a potem jego następcy czcili rocznicę apelu z 18 czerwca w krypcie Mont Valerien, gdzie w czasie okupacji rozstrzelano około 5 tysięcy uczestników francuskiego ruchu oporu. Obchodząc tę rocznicę za granicą, w miejscu które znajdowało się pod okupacją hitlerowską, prezydent chciał dobitnie wskazać, że Francja przylączy się do potępienia zbrodni hitlerowskich...

A inny dziennik „France Soir” nawiązując do przemówienia prezydenta wygłoszonego w Oświęcimiu stwierdził:

Giscard d'Estaing wygłosił w Oświęcimiu piękną, szlachetną i wielką mowę. Zarówno co do treści jak i formy tekst ten przynosi zaszczyt temu, kto ją napisał. Przynosi też zaszczyt Francji, ponieważ było to przemówienie prezydenta Republiki Francuskiej.

Z tego przemówienia warto przytoczyć obszerniejsze fragmenty:

„Prochy nakazują nam wstydić się i milczeć. A także pamiętać o ostrzeżeniu Bertolda Brechta, który pisał: „Iono, które spłodziło tego potwora, jest jeszcze płodne”.

„Gdzie bardziej niż w Oświęcimiu, w tym przeklętym, a poświęconym miejscu, możemy spodziewać się odnalezienia wartości moralnych i duchowych? Którdy, jeśli nie tędy, przebiega nadzieja osiągnięcia Europy niezależnej, porozumienia między Wschodem a Zachodem? Skąd, jeśli nie stąd, możemy zwrócić się z apelem do młodzieży:

„Istnieje, musi istnieć odmienna droga niż rezygnacja i gwałt, możemy i odnajdziemy mądrość, odwagę i siły na przetrwanie niebezpieczeństw i wyzwać naszego czasu?”.

Co to znaczy dawać pierwszeństwo rozwiązaniom pokojowym nad konfrontacją? W Europie określamy to mianem odprężenia. Odprężenie nie oznacza jedynie okoliczności rozwiązywania trudności politycznych, wyraża ono wolę współżycia, przetrwania różnic z naszej własnej woli, wspólnego poszukiwania możliwości — bardzo szerokiej — zjednoczenia naszych wysiłków. Odprężenie powinno stać się krokiem pozytywnym, nie tyle zamykającym jedną epokę, co otwierającym nową. Twierdzą to, mimo że żadne przeszkody, żadne istniejące jeszcze zagrożenia nie są mi obce. Mogę powiedzieć to z całym realizmem, opierając się na całokształcie stosunków Polski i Francji, że odprężenie pozytywne jest możliwe i że odpowiada aspiracjom naszych narodów.

Cytat z Brechta ma swoją wymowę. Wymowę mają też słowa o odprężeniu, które powinno otworzyć nową epokę. Bo, jak powiedział w Oświęcimiu Edward Gierek: Przyszłość kojarzymy jednoznacznie z pokojem.

M. J.

Polska - Francja

Wizyta prezydenta

ustannie wszelkich starań na rzecz wcielenia w życie postanowień Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Jak wiadomo, Konferencja ta jeszcze trwa (prezydent Francji wypowiedział się za najszybszym jej zakończeniem — w końcu lipca, lub najpóźniej w początku września). Fakt, iż w Kartie jest już mowa o wcielaniu w życie postanowień Konferencji wyraźnie świadczy, iż szybko zmierza ona do pomyślnego zakończenia.

Naród polski serdecznie powitał prezydenta Francji, Valéry Giscard d'Estaing na każdym kroku spotykał się z przyjaźnią, z wyrazami sympatii. W oficjalnych przemówieniach tradycja przepłatała się z dniem dzisiejszym, wracały też tragiczne doświadczenia ostatniej wojny, w której oba nasze narody poniosły tak wielkie ofiary.

Szczególnie podniosłe przebiegały uroczystości w Oświęcimiu, gdzie prezydent Francji oddał hołd pamięci ofiar faszyzmu. Francuski dziennik „Figaro” pisał na ten temat:

W którym żyjemy

Młodociani samobójcy

W CIĄGU dziesięciu lat podwoiła się w USA liczba młodocianych samobójców. Pisz o tym M. Cohen na łamach „Washington Post”:

Typowy samobójca to nastolatek, który nie pasuje do społeczeństwa — dobry uczeń lub student, bardzo wrażliwy i myślicy. Oto statystyczny portret młodego Amerykanina, który zabija sam siebie. W ostatnich latach gwałtownie wzrosła liczba samobójstw wśród młodych ludzi: samobójstwa są trzecim z kolei powodem śmierci w grupie 19—25 lat. Pierwsza przyczyna to wypadki drogowe, druga — zabójstwa.

Statystycy i psychologowie zatrudnieni w Narodowym Instytucie Zdrowia Psychicznego i wielu innych specjalistów — stwierdza dalej autor artykułu — uważają, że trend (samobójstwa młodocianych) jest związany z postępującym rozluźnieniem struktury rodzinnej. Iwni są zdania, iż winą za ten stan rzeczy należałoby obciążyć tzw. nową permissywność, czyli postawę przyzwolenia i unikania zakazów w stosunku do młodzieży. W rezultacie młodzież otrzymuje wszystkie przywileje wieku dojrzałego, nie ponosi jednak żadnej odpowiedzialności. Są i tacy, którzy mówią o efektach narkotyków i alkoholu, a także sytuacji ekonomicznej, powodującej, że bezrobotnych jest znacznie więcej właśnie wśród młodych ludzi.

Niezależnie od tego, jaka jest rzeczywistość przyczyna, cała sprawa budzi przeżalenie.

Dzieci a reklama

AGENCJE reklamowe RFN w coraz większym stopniu wykorzystują dzieci. Wychwalają w telewizji i radiu — pisze „Frankfurter Rundschau” — nie tylko zabawki i słodycze, lecz również proszki do prania, pastę do podłóg lub do butów. Wytwórcy najróżniejszych produktów w RFN i ich agenci coraz częściej angażują dzieci. Zjawisko to wzbudziło już krytyczną uwagę rządu, który zastanawia się nad wprowadzeniem surowszych zakazów wykorzystywania dzieci w reklamie. Niewątpliwie jest bowiem, że obecna sytuacja zakłóca rozwój nie tylko tych małoletnich, których pokazuje się na ekranach, słupach ogłoszeniowych i w magazynach ilustrowanych, lecz również tych dzieci, które się temu przyglądają. Wątpliwe jest jednak, czy rząd zdola osiągnąć swój cel. Już obecnie przepisy nakazują wykorzystywanie dzieci do reklamy artykułów dla dorosłych. Specje od reklamy skutecznie jednak uprawiają słalom przez luki w przepisach i naginają do swych potrzeb nie całkiem jednoznaczne paragrafy.

Zresztą przepisy nie tylko dają się omijać, lecz stanowią wręcz inspirację do prowadzenia skutecznej reklamy. Tak np. postanowienia władz nakazują, by w usta dzieci nie wkładano wypowiedzi

brzmiących sztucznie w stosunku do ich wieku. Uprawiający reklamę sami jednak dobrze wiedzą, że nienaturalnie brzmiące wypowiedzi dzieci w żargonie producentów (np. „Ten środek piorący wywabia gruntownie najtrudniejsze plamy”) budzą sceptycyzm słuchających. Dlatego w imię wzrostu obrotów i zgodnie ze wspomnianym przepisem dobierają takie sytuacje, w których dziecko może powiedzieć: „Moja mamusia potrafi wszystko”.

Sprytnie natomiast omija się przepisy nie zezwalające na zatrudnianie dzieci do 14 roku życia, dopuszczające jednak wyjątki w dziedzinie... artystycznej. Wykorzystując to, deklaruje się występowanie dzieci w audycjach reklamowych jako udział w działalności artystycznej.

Były profesor pedagogiki, obecny dyrektor programowy radia i telewizji austriackiej, Helmut Zilk, oświadczył: „Czy zdajemy sobie w ogóle sprawę, co mogą przeżywać dzieci nadużywane do bezmyślnego recytowania sloganów reklamowych? Wobec przypadających rodzicom z tego tytułu dochodów można chyba bez przesady mówić o niedozwolonej pracy dzieci, a nawet o prostytucji dziecięcej”.

Eksperyment Modeny

WE włoskiej prowincji Modena przeprowadza się eksperyment mający na celu włączenie młodzieży upośledzonej umysłowo do pracy w przemyśle.

„Nie chcemy, aby chłopak stał się dobrym stolarzem, jak na niedorozwiniętego, ale na zostać po prostu dobrym stolarzem” — mówi Mauro Rebecchi, 36-letni nauczyciel z ośrodka przysposobienia zawodowego dla niedorozwiniętych w Fossalta, w prowincji Modeny. Podobnie do niego myśli 30 jego kolegów, którzy wychowują 77 młodych ludzi z opóźnionym rozwojem fizycznym bądź umysłowym, pochodzących z pobliskich instytucji lub szkół specjalnych. Ośrodek ten, który powstał przed czterema laty z inicjatywy władz prowincji zetknął się początkowo z wieloma trudnościami: zbyt wiele rodzin przyzwyczajonych wypłacać do opiekunów roli szkół specjalnych wyrażało swój protest. Ich dzieci, „wyrywane” z instytucji, po zetknięciu się z rzeczywistością zaczęły przeklinać, wracać do domu wybrudzone, w sumie nie były już tymi łagodnymi stworzonkami, jakie znano. Lecz słuszną drogą była właśnie taka — mówi M. Rebecchi: przezwyciężyć tradycyjne instytucje, które stanowią zamknięte getta oraz włączyć młodzież bezpośrednio do społeczeństwa.

Ośrodek powstał w rejonie nowo przemysłowym: jest tu 10 drobnych zakładów przemysłowych opartych na nowych zasadach, związanych z rolniczym rozwojem regionu. W tych fabrykach swoją cierpliwą działalnością, prowadzoną od czterech lat, wychowawcy z Fossalta wyuczyli stali i płatną pracę dla ok. 30 młodych, niedorozwiniętych.

Ich celem jest obecnie „opróżnienie” ośrodka przez znalezienie pracy dla wszystkich u„chowanków”.

CO Z POEZJĄ

Debiuty poetyckie 1974

Stanisław Jan Królik

SALA „Klubu Medyka” w Warszawie gościła w dniach 24-25 maja br. poetów i obserwatorów poezji z całego kraju. Kolejny raz zmienił się mecenas udostępniający lokal. Kiedyś był to KMPiK-Sciana Wschodnia, w ubiegłym roku — przejściowo — „Stodoła”. Okoliczności — jak widać — u niemożliwiają skostnienie imprezy, wiecznie towarzyszy jej improwizacja. Ma to nawet swój urok, jeśli z pogodą ducha spojrzeć na przeciwności. Trudno nie zwrócić uwagi, że impreza schodzi do podziemi. Mimo to przeciwności były tego roku mniejsze, pozbawione ubiegłorocznego „opatrznościowego” spadania plakatów na sali, które to spądanie pachniało apokalipsą. Nie dziwnego, że po wypowiedziach wprowadzających J. Leszina (o mecenacie SZSP) i dwu przeglądach debiutów ubiegłorocznych (A. K. Waśkiewicza i M. Bukowskiej) odbyła się wymiana zdań. Dużo było wypowiedzi na temat własny, pretensji o niewłaściwe sklasyfikowanie konkretnych realizacji poetyckich. Nawet, jeśli uwagi te istotne były doraźnie, możemy je sobie darować. Znacznie ważniejsze są bowiem refleksje ogólne.

Krzysztof Gąsiorowski przeprowadził poblezny rekonesans sytuacji w ruchu poetyckim. Wnioski dadzą się streścić następująco: w momencie istniejącego lub wymyślanego zagrożenia ludzie (piszący) łączą się w grupy, znajdują wspólny język, którym starają się wyrazić problemy ponadindywidualne. Później zagrożenie mija, język poezji staje się bardziej zindywidualizowany, dąży do odzwierciedlenia problemów jednostki. Takie ujęcie — dodajmy — przylega do fragmentu heglowskiej koncepcji dialektyki dziejów. Nie zawsze musi się to sprawdzać na małym wycinku czasu, a dialektyka została od czasów Hegla odrobinę wzbogacona. Warto również pamiętać o wiele starszej interpretacji rozdzielenia języków: rolę demiurga, który opóźniał budowę Wieży Babel. Ponieważ świat widać dzisiaj jako zespół złożonych procesów, dlatego również demiurg ma charakter wielocłonowy. Myślę, że kiedyś potrafimy tę złożoność dokładniej nazwać.

Tymczasem, warto chwilę zatrzymać się na drugiej podniesionej przez Gąsiorowskiego sprawie, tzn. czy warto jest poświęcać tyle uwagi debiutanckim książeczkom poetyckim, które łączy to jedynie, że w planie wydawniczym figurowały pod jednym rokiem. Wiadomo, nie zawsze najbardziej znaczącymi książeczkami poetyckimi są druki debiutanckie, często poeta wypowiada się znacznie pełniej w książce drugiej, czasami dopiero po kilkunastu latach od pierwszego druku samostannego. Prawda, ale wtedy sporadycznie tylko znaczące dzieło pozostaje nie zauważone, mówi z reguły recenzje oraz — co jest zupełnie sprzeczne, ale ważne — znacznie sprawniejszą dystrybucję (księgarze chętniej je zamówią, ponieważ znają już reakcję na książkę poprzednią). Przypadkiem dokonałem interesującej obserwacji: Krzysztof Gąsiorowski

dopiero na sympozjum zobaczył książkę Stanisława Gostkowskiego „Nie chowajcie mnie żyjącego” — uznana notabene, na tej samej imprezie, za najbardziej znaczącą pozycją debiutancką roku. Gąsiorowski prowadzi dział poezji w „Literaturze” — co mówić o kłopotach innych, mniej fachowych czytelników poezji.

Poza tym ciągle ukazują się tzw. debiuty spóźnione. Warto zwrócić uwagę na daty urodzenia autorów czterech najbardziej znaczących tomów ubiegłorocznych (zgadzam się tutaj całkowicie z diagnozą A. K. Waśkiewicza): Stanisław Gostkowski (1948), Wit Jaworski (1944), Kazimierz Ratoń (1942), Czesław Sobkowiak (1950). Wszyscy debiutowali w prasie w latach 1965-67, z wyjątkiem Gostkowskiego, który już w debiucie na łamach „Odry” (1971) ukazał się w pełni ukształtowanym poetą.

Wit Jaworski („Adres zwrotny”, Generacje seria IV, 247 egz.) wprowadza odbiorcę w zupełnie nową poezję, łączącą lirykę filozoficzną z liryką polityczną („politolologiczną”, w opozycji do liryki politycznej, bardziej doraźnej, opierającej się na znanych schematach wierszowych, skierowanej do masowego odbiorcy). Wiersz Jaworskiego, nie posiada niemal metafory, nie znaczy to bynajmniej, że jest prosty w odbiorze.

Utwory Stanisława Gostkowskiego („Nie chowajcie...”, Wyd. Morskie, 800+200 egz.), szczególnie z cykłów: „cywilizacja” i „San Domingo” wprowadzają do poezji lingwistycznej czy semantycznej nowe potraktowanie tematu patriotycznego, przez nawiązanie do T. Kantoberego Tymowskiego i Juliusza Słowackiego. Pogłosem Tymowskiego wydaje się szczególnie wiersz „twarz żołnierza skierowana w stronę ojczyzny”. Za Słowackim stara się Gostkowski rozbić „czerep rubaszny” uproszczonego traktowania zdarzeń historycznych, poczynając od Grunwaldu. Iście romantyczny jest tutaj potraktowanie heroicznej przeszłości.

Zrozumiałe, że diamenty przykrywa warstwa popiołu (przepraszam za

parafrazę). Aby wyjąć z niewielkiej liczby (18) książeczek debiutanckich z ubiegłego roku na chybił trafił, zarówno „Do końca biegu” Józefa Andrzeja Grochowiny, studenta filologii polskiej, jak i „Przypowieści” Jana Kurowirskiego, doktora fil. pol., habilitowanego z filozofii, stanowią zapas dobrych chęci a nie wartościowych, wnoszących coś nowego realizacji. Skłonny jestem ciepłej spojrzeć na twórczość studenta, który z większym prawdopodobieństwem może dojść do własnego, oryginalnego sposobu wypowiedzi.

Sympozjum umożliwia podkreślenie książek znaczących, które znalazły zbyt mało zainteresowania. Ludzi dokonujących oceny dzieł od ocenianych nie tylko mniejsza różnica wieku, ale również mniejsza liczba popełnionych w przeszłości błędów. Oceny — podkreślam — mogą zwrócić uwagę na publikacje niedocenione a nie uniemożliwić wydawanie tomów następnym.

Zdziwić może kogoś, że sympozjum odbywa się w klubie studenckim, przy redakcji „Nowego Medyka” a nie przy „Poezji”, miesięczniku powołanym do zajmowania się poezją. Tak się jednak dzieje, że niemożliwe jest w tej chwili skupienie przy „Poezji” grona poetów i krytyków, które by stanowiło gwarancję możliwego a koniecznego obiektywizmu, w piśmie nie drukują poeci, których głos liczy się w całokształcie literatury polskiej. Trudno powiedzieć, jaki związek z tym stanem rzeczy ma uwaga: „redakcja tekstów” przy nazwisku Anny Cierniak, w stopce redakcyjnej miesięcznika (por. nr 3 z br.).

W drugim dniu sympozjum sprawa „Poezji” wypłynęła — ku mojemu ogromnemu zdziwieniu — od doktora Jana Witana, członka redakcji inkryminowanego miesięcznika. Zebrani dowiedzieli się, jak to „Poezja” chętnie drukuje utwory młodych i — o dziwo — jest za to atakowana przez młodych (starych?) z Julianem Kornhauserem na czele. Peany pochwalne doktora Witana zostały na tyle zamortyzowane przez jego własną wypo-

wiedź (i! Jeśli lojalny wobec przeciwników), że nie ma sensu powtarzać komplety głosów przeciwnych.

Sytuacja zdawać by się mogła niewesoła: niemal o połowę mniejsza niż w roku ubiegłym liczba tomików debiutanckich, kłopoty z miejscem, gdzie bez obaw („redakcja tekstów”) można drukować. Jako przeciwnik czarnowidztwa, z pełną sympatią odnoszę się do dwu nowych inicjatyw Jerzego Leszina: wkładki do „Nowego Medyka” („Młodej Sztuki”) i „Arkusty poetyckich” (również przy „N. M.”). O „Młodej Sztuce”, zbyt wczesnie mówić, ukazuje się rzadko, posiada małą objętość. Ma ambicje ponadregionalne — to dobrze. Daje niezły przegląd sytuacji (szczególnie wydawniczej) w nieznanym niemal środowiskach młodoliterackich (np. gdańskie, toruńskie), ale zarazem startuje w sytuacji, gdy nie tyle może rozdać w pokoleniu koszulki liderów, ile ukształtował się pewien — nawet niepisany — kanon wypowiedzi artystycznej. Obawiam się tęsknot za nadmiernym estetyzmem, który sparaliżował debiutujących pomiędzy rokiem 1960 a 1966. Tym bardziej, że „nasza mała stabilizacja” dokładnie się nie powtórzy. Pewną nadzieję budzą właśnie środowiska dotychczas mało aktywne. Stąd już tylko krok do „Arkusty poetyckich”.

Na sympozjum rozstrzygnięty został konkurs na arkusze. Wpłynęło 198 zestawów, sąd konkursowy wybrał jedenaście, z tych sześć do realizacji w ciągu najbliższego roku: W. Gierymski (Częstochowa), Z. Korus (Kraków), W. J. Ziemiński (Gdańsk), Z. W. Fronczak (Lublin), J. K. Adamkiewicz (Poznań) i K. Soliński (Bydgoszcz). Wśród pozostałej piątki P. Grauman, J. K. Misiąg i S. P. Gaszyński są również z Lublina. Trudno sobie wyobrazić, aby spokojny pod względem wydawniczym Lublin mógł być reprezentowany przy jakimkolwiek jury literackim. Seria o ambicjach ponadregionalnych nie może być oficyną wydawniczą lubelskiego Koła Młodych. Dodam, że w ogłoszonym wcześniej regulaminie organizatorzy zapowiedzieli preferowanie studentów (mecenat SZSP), dlatego też nie wszyscy, którzy czekają w Kozim Grodzie na debiut książkowy, wysłali swoje utwory. Niech żyje śp. Biblioteka Kameny!

Wzorem roku ubiegłego na sympozjum przygotowany został przez Jerzego Leszina-Koperskiego i Andrzeja K. Waśkiewicza wybór wierszy ubiegłorocznych debiutantów, poprzedzony szkicem A. K. Waśkiewicza, opatrzone pełną — na ile to możliwe — bibliografią wydawnictw debiutanckich, łącznie z książkami zbiorowymi, nielicznymi czasopismami oraz dodatkami do czasopism i wydawnictwami seryjnymi. Książeczka ta może okazać się bezcenna dla osób pragnących zorientować się w ruchu młodoliterackim, jeśli uwzględni się występowanie w niej częstych błędów korektorskich.

P. S. Do takich błędów należy np. zaliczenie Mariana Janusza Kawalki do tzw. Konfederacji Nowego Romantyzmu.

Marianna Bocian

... A ...

a przecież byliśmy stworzeni dla siebie
jakkże dalecy na ziemi przez słowa
a przecież ludzie bliscy czy dalecy wierzyli
tu kiedyś
w miłość co się dokonuje bez słowa płomiennie
śmiganiem żrenic co najszybciej widzą pełnię
dni szczęśliwych i nocy krwawiących

a przecież byliśmy stworzeni dla siebie bogactwem
jakkże nadzy po latach ze złudzeń wyzbyci bez snów
a przecież ludzie bliscy czy dalecy wierzyli
tu kiedyś
w chleb co przysparza nadziei w najgroźniejszym
huraganie
i choć pozostawali rozdzieleni to znali ból z jednego
rdzenia
ten święty co zwano kiedyś czule i dokładnie —
Przeznaczeniem
to nie że nie zakwitał w kobiecie brzemiennością
brzucha
w owoc o skrzydłach płomiennych w oddechy lecz
nie był

los jej okrutny jak dni moje to nie
TO NIC
które słodziło samotność po kres modlitwy co
sensom
ale w mowie pozostawali ludzie dla siebie stworzeni

a my bezprzyczynnie patrzymy kamiennymi żrenicami
jakkże kiedyś byliśmy bliscy po łyż co z nadmiaru
wielbienia

gdy biel się wkradła między krew i ciało w
strzelistość wersetu
weszła pycha sięjąca nienawiść
a przecież my przez śmierć stworzeni byliśmy dla
siebie
jak puchary na wino jak kraterzy na rosnącą lawę
jak kwiat jabłoni na wrodzaj jabłek
jak ciało kobiety na obnażenie przed mężczyzną
jak mężczyzna na kobietę rodzącą mu syna
jak noc na koronację w obliczu Zrenicy

a dziś przyszło zazdrościć bogactwa żebrakom
a przecież ludzie sobie obcy przez słowo
stawiali się w przyjaźni dla siebie serdeczni

a przecież i my byliśmy stworzeni dla siebie w
czułości

Jerzy Wilmański

Więc do ust uniesiesz tę szklanek goryczy
albo ci zebra ściśnie zimna obręcz bólu
zadławisz się własnym słowem
oślepniesz od mgły

Ile lat trzeba było
ażebym zrozumieć
że nikt nie potrafi wybaczyć z miłości

Więc do ust uniesiesz tę szklanek goryczy
więc ci zebra ściśnie zimna obręcz bólu

Janusz Styczeń

ADWENT

w parku w tym właśnie parku czekają
gdzie twoje oczy widzą jedynie
nutę muzyczną bowiem i je także
ogarnęło czyste milczenie

to park podczas jednego ze spacerów
(tak melancholijnego, że chłód szedł nawet z serca)
szepnął ci i nie skończył:
„gdy natura zrobi tak wiele prób...”

patrząc na oschle wyniosły park pytasz:
„czy asceza nie jest zbyt technicznym
zabiegiem technicznym?”

a gdybyś miał większy zasób słów
(ostatnio zamiast czytać kontemplujesz)
dodałbyś: „ktoś się wczuł w rolę”
ale o tym wie park:
kiedy narodzi się czas cukru
a my: ty i ja i również ta stała osowiała
Sowa mająca inię Białka i długi niebieski szal
i ci wszyscy z urodzenia nudyści
będziemy jedli i jedli wciąż cukier

i nie martw się że czas cukru
objawi się w formie naturalnej i prostackiej
bo naprawdę ten czas zupełnie nie wie
co należy się Formie i Pięknemu

STARA formuła Lubelskich Spotkań Wokalistów Jazzowych oparta na trzech wielkich koncertach nie sprawdziła się, zabrakło bowiem owej charakterystycznej dla wielkich imprez atmosfery, zabrakło konkursu wokalistów — amatorów, klubu festiwalowego, nocnych jam sessions. Muzycy — często bardziej beatowi niż jazzowi — przyjeżdżali rano, grali wieczorem, a po koncercie — do domu. Trudno było się zorientować, czy to festiwal, czy na gwałt wyrabiająca plany finansowe „Estrada” organizuje zmasowany atak na oszołomionego widza.



Fot. J. Mirosław

Postanowiono więc, że konkurs odbywać się będzie co dwa lata, jako że autentycznych wokalistów jest zbyt mało, a kwalifikowanie tych samych nazwisk nie ma najmniejszego sensu. Może przez te dwa lata coś podrośnie, coś dojrzeje, coś da się zauważyć.

W tym roku spośród piętnastu kandydatów dopuszczono do finału siedem osób, z których jedyna dziewczyna — Lidia Maciejewska — przedstawiła się tylko jako piosenkarka, a czeski wokalista musiał natychmiast wyjechać i do konkursu w ogóle nie stanął. Z pozostałych sześciu wytypowało jury jednego zdobywcę drugiego miejsca i dwóch trzeciego ex ae-

kopertach pieniążków nie przykryje chęci śpiewania jazzu ochołą na szmal? Przeżyliśmy już pięć Spotkań — można wyciągać wnioski. Festiwal, na który nie przyjeżdżają konkursowicze, ich mamy i siostry, ich dziewczyny i chłopcy, na który nie przyjeżdża Lech Terpilowski — nie jest festiwalem, ale trzema koncertami — gigantami, a z tego nie wynika.

A więc: okazuje się, że fascynacja elektroniką trwa. Pisałem swojego czasu w prasie lubelskiej, jak to przemysłowe urządzenia zapracowały na sukces Urszuli Dudziak, dziewczyny naprawdę zdolnej, której jednak —

time”, spodziewałem się w przypadku pierwszego utworu wiernej kopii interpretacji kompozytora, a w drugim albo kopii Janis Joplin, albo Mahalia Jackson. Izbiński zdobył się — o co u białych wokalistów trudno — na w miarę własne potraktowanie tematów i uzupełnienie ich ciekawymi improwizacjami wykonywanymi scatem.

Trzecim miejscem podzielił się Izbiński z Murzynem o nazwisku Prater Le Bron. Już sam fakt przybycia do Lublina czarnego przedstawiciela jazzu zbulwersował publiczność do tego stopnia, że do dobrego tonu należało mówienie o „prostocie akompaniamentu fortepianowego” i „naturalnym brzmieniu interesującego głosu”.

TRUDNA TO SZTUKA ŚPIEWAĆ JAZZ

Jacek Grün

quo. Pierwszego miejsca — określając tym samym poziom Spotkań — nie przyznano. Obradom przewodniczył znany krytyk i publicysta, Lech Terpilowski.

Starannie dobrano jury. Co dziwi, chociaż dziwić nie powinno: nikt w tym roku nie wiedział wcześniej kto zwycięży i jaka będzie dalsza kolejność nagrodzonych uczestników. Tradycyjny wybieg — nie przyznanie pierwszego miejsca — był słuszny i uzasadniony o tyle, że żaden z wokalistów nie dorastał nawet do pięt, występując na koncertach galowych, Ewie Bem czy NOVIm. I był to z prawdziwego zdarzenia konkurs.

Warto poświęcić jeden bardzo duży akapit amatorom, bo przecież dla nich — przede wszystkim — zorganizowane zostały tegoroczne Spotkania Wokalistów. Ale najpierw dygresja: zdezorientowani dotychczasowymi, młodymi jeszcze festiwalami jazzu w Lublinie, zastanawialiśmy się przed rokiem, czy kontynuowanie całej zabawy w jury, oceny, laurki, nagrody, nie wprowadzi nastroju niepotrzebnego podniecenia i drobnych zawiści; czy świadomość czekających w

w dzisiejszych czasach — zdolność owe pomogłyby dojść jedynie do rangi Urszuli Sipińskiej albo Ireny Jarockiej. Skomplikowane owe urządzenia, dzięki którym przetworzony przez wzmacniacz głos otrzymuje brzmienie do niczego na ziemi nie podobne, ułatwiły w znacznym stopniu sukces Markowi Stryszowskiemu z grupy „Laboratorium” (II miejsce). To było coś najnowocześniejszego, ale osobiście wolę, by amatorzy prezentujący swoje umiejętności śpiewali w czasie konkursu „St. Louis Blues”. Jeśli mogą cenić kopie, to niech to będą pracowite kopie NOVIch albo Ewy Bem, a nie technicznych możliwości kamery pogłosowej. Tutaj problem w tym, kogo stać na modulator i melotron. Stryszowski do mikrofonu gdał, krzyczał, piszczał, na echo nakładał trzy jeszcze dźwięki, natomiast najlepszy, moim zdaniem, wokalista Jan Izbiński (III miejsce) po prostu śpiewał jazz. Czy nie o to nam wszystkim chodzi? Warto zapamiętać to nazwisko, bo chyba uszyszamy je nieraz jeszcze. Kiedy podano, że Izbiński wykona Charlesa „Hallelujah” i Gerschwina „Summer-

bądź o „wrodzonych zdolnościach interpretatorskich”. Tymczasem Prater, jeśli czymkolwiek różnił się od pozostałych muzyków i wokalistów, to tylko kłępską techniką gry i bardzo przeciętną interpretacją. No cóż, nie każdy czarny śpiewa bluesa. Oczywiście, nie było w jego śpiewie manieri odwrotczej, tak ukochanej przez naszych wokalistów; wręcz przeciwnie — była naturalność i swoboda. Zresztą jury trafnie przyznało tę nagrodę, bo już rzeczywiście nic lepszego na Spotkaniach Wokalistów Jazzowych nie było. Przepraszam, byli — profesjonalści.

Na LSWJ przeżyłem szok! Najlepsza w świecie grupa jazzowa, grupa wokalna NOVI SINGERS występuje bez założyciela i kierownika, Bernarda Kawki. Po raz któryś z rzędu upadł w Lublinie pewien mit: są jednak ludzie niezastąpieni. NOVI do brali sobie wprawdzie czwartego wokalistę, ale to jest rzeczywiście czwarty, a nie pierwszy. Bez Kawki brakuje NOVIm precyzji wykonania, brakuje podziwianego niegdyś swingu, nie ma tego dawnego „ognia”. Bez wątpliwa jest to nadal fenome-

Oto skansen?

(Dokończenie ze str. 1)

powiedzieć, że skansen lubelski już w stadium idei cieszył się znakomitym patronatem. W późniejszych latach wokół przedsięwzięcia widzimy także ciekawe indywidualności i autorytety etnografii.

W 1962 roku zajął się sprawą profesor Roman Reinfuss, zatrudniony wówczas w UMCS. Autor licznych i cenionych publikacji na temat kultury ludowej opracował koncepcję naukową skansenu i przy byle okazji chwalił Lublin za pomysł urządzenia muzeum wsi. Czas nagiął, chałupy padły pod ciosem siekiery, rozbierano stare i bezużyteczne już wiatraki, niszczone olejarnie, folusze, maneże, spichrze i to wszystko, co drewniane i przynależne do epoki pociągowego konia. Chłopi stawali murowańce, szli z duchem czasu, jakby trochę wyprzedzając się nędznej przeszłości, co może i zrozumiałe, ale w skutkach straszne.

W tym okresie do działalności na rzecz skansenu dołączył doktor Jan Górak, który rychło okazał się sercem i duszą całej sprawy. Historyk sztuki, etnograf i ekonomista, człowiek biegły w liczeniu, znający się na budownictwie, prawie, geodezji uznał Muzeum Wsi Lubelskiej za swoje życiowe przedsięwzięcie. Tułał się po zapadłych dziedrach województwa trzy lata — nim ustalił listę zabytkowych obiektów, wartych przeniesienia do Lublina, na piękne miejsce w środku miasta, tworzące wraz z pobliskim Zamkiem i Starówką unikalny w skali europejskiej kompleks przestrzenno-architektoniczny, rytmizowany świetnymi dziełami sztuki i budownictwa.

W 1963 roku J. Górak pozyskał dla sprawy kolejną znakomitą: Gerarda Ciołka, który w dziedzinie ogrodowej — teoria i praktyka — mógłby śmiało konkurować z księżną Izabelą Czartoryską. Ciołkowi także spodobał się wybór miejsca pełnego zieleni, dużych — co bardzo istotne — drzew rosnących na ciekawie rzeźbionym terenie. Znawca sztuki ogrodowej pochodził zresztą z Lublina, dużym sentymentem darzył miasto, co nie pozostało bez wpływu na jego stosunek do skansenu. Niestety, niesamowita śmierć, jaką niedługo potem poniósł w górach, nie pozwoliła mu na robocze dopracowanie koncepcji przestrzennego zagospodarowania wspomnianego miejsca.

W 1966 roku na podstawie wstępnego planu ustalono lokalizację ogólną, a dwa lata później — szczegółową Muzeum Wsi Lubelskiej przy ulicy Kalinowszczyzna. Stosowną decyzję wydała Wojewódzka Komisja Planowania, a więc Instytucja poważna i uprawniona do takiego działania, co niestety oczywiście, lecz w kontekście późniejszych wydarzeń — warte przypomnienia.

W 1968 roku Wojewódzka Rada Narodowa uchwala powołanie skansenu, podkreślając przy okazji wielkie znaczenie tej placówki dla kultury polskiej. Lubelszczyzna jest szczególnie bogata w dzieła sztuki i budownictwa ludowego, ale ten majątek kruszeje w oczach, uszczuplany przez człowieka, przemysł i naturę. W 1956 roku doliczono się tutaj 530 wiatraków, gdy tymczasem 12 lat później było ich zaledwie 100. Tylko skansen może uchronić fragment owego bogactwa, konserwowanie obiektów in situ, czyli na ich rodzimym terenie, jest niesłychanie kłopotliwe, kosztowne, a ostatecznie — bezskuteczne.

Przy końcu lat sześćdziesiątych wszyscy w Lublinie popierają ideę skansenu, dostrzegają sens lokalizacji przy ul. Kalinowszczyzna. Uznanie budzi informacja, że muzeum będzie miało charak-

ter otwartego dla wszystkich parku osiedlowego; bilety będą obowiązywać tylko przy wejściu do cerkiewek, chałup, dworców, wiatraków...

Dyrektorem placówki zostaje oficjalnie doktor Jan Górak — człowiek raczej niezastąpiony w tego rodzaju robocie, gdzie poza kwalifikacjami czysto zawodowymi trzeba dysponować umiejętnością współżycia z ludźmi. Kilkadziesiąt ikon, setki strojów ludowych i wyroby rzemiosła artystycznego niejako wygadał Górak w terenie. Darzą go ludzie zaufaniem, widząc, że dyrektor z Lublina zna się na wszystkim, co ważne dla człowieka ze wsi. Górak niezmordowanie przemierza województwo w poszukiwaniu eksponatów i obiektów architektury, ustalając ostatecznie listę ok. 60 chałup, cerkiewek, młynów wodnych etc., które zamierza sprowadzić na 12-hektarowy obszar skansenu. Dzielnie sekundują mu w robocie pracownicy muzeum, przede wszystkim zaś — ładne pannie etnografki. Nikt nie wątpi w powodzenie całego przedsięwzięcia, panuje powszechny entuzjazm znajdujący wyraz w publikacjach prasy lubelskiej i warszawskiej. Chwałą dziennikarze Górak, gorąco popierają sprawę. Wśród kilkudziesięciu artykułów — mowa o większych pozycjach — jakie poświęcono skansenowi, nie ma cienia krytyki. I słusznie.

Przez dłuższy czas Muzeum Wsi Lubelskiej egzystuje w baraku na Zamku. W jednym pokoju siedzi pięć osób plus pięset eksponatów, ale sny o lepszych chwilach i wiara w doniosłość sprawy łagodzą trudności lokalowe. Inspektor pracy grozi dyrekcji, że zamknie barak z powodu fatalnego stanu budyneczku. No i dobrze, bo te uzasadnione pogroźki zmuszą ostatecznie pracowników muzeum do przesiedlenia się do dworku Wincenckiego Pola, który przeniesiono właśnie z ul. Łęczyńskiej na ul. Kalinowszczyzna, inicjując bardziej realne istnienie skansenu. Operacja kosztowała milion i czterysta tysięcy złotych, z czego 800 tysięcy sypnęła dyrekcja Lubelskiej Fabryki Wag — dotychczasowy gospodarz dworku. Ministerstwo Kultury i Sztuki uhonorowało dyrektora Ujme złotą odznaką „Zasłużonego dla ochrony zabytków”.

Muzeum Wsi Lubelskiej ma dach nad głową, dobrą kadrę, coraz wspanialsze zbiory, środki finan-

nalna klasa światowa, jednak przez lata przyzwyczajeni do najwyższego poziomu, nie tak łatwo dajemy sobie odbierać przyjemność słuchania idealu.

Przyroda mimo wszystko czuwa. To, co odebrano NOVIm przeszło na znakomitą wprost Ewę Bem. Bo w jazzie nie nie ginie, tylko zmienia właściciela. Nie tak dawno zarzucał właściciela. Nie tak dawno zarzucał pani Ewie (w jednej z recenzji) uprawianie schematu. Bossa nova wykonywana wspólnie z bratem, Aleksandrem, zaczynała nużyć, zwłaszcza że po doprowadzeniu do perfekcji współbrzmienia głosów i zbiorowych improwizacji wokalnych, cały zespół BEMIBEM zatrzymał się w miejscu. I oto na Spotkaniach Ewa Bem wystąpiła z rewelacyjną grupą UNION (Muniak, Bezucha, Jarczyk, Jarzębski), dając popis możliwości interpretacyjnych w kilkunastu standardach jazzowych. Nareszcie — po zaledwie klubowym jam session — usłyszałem tę świetną wokalistkę na dużym koncercie w takim właśnie repertuarze i w otoczeniu wybitnych instrumentalistów.

A ostatniego dnia, w niedzielę, od ósmej wieczorem do trzeciej rano, prawie trzytyśięcna widownia sali MOSTiW oddychała jazzem najprawdziwszym z prawdziwych, chociaż przekazywanym przez różne usta, ręce, twarze, biodra, nogi. Wszyscy najlepsi polscy wokaliści, najlepsze zespoły, przekrój stylów i gatunków począwszy od Stowarzyszenia Popierania Prawdziwej Twórczości „Chalturnik” z „Ptaszynem” Wróblewskim w roli głównej, przez nowoczesne „Laboratorium”, aż do najnowocześniejszej i genialnej grupy Skrzeka SBB! Były w Lublinie różne koncerty-giganty, ale tego chyba jeszcze miasto nie przeżyło. Przeżyła były tym mocniejsze, że nareszcie na V LSWJ była prawdziwie jazzowa atmosfera.

Jakże inna od ubiegłorocznej! Jeden tajemniczy jam session, zakamuflowany nawet przed oczyma dziennikarzy, i drugi, jawny, obydwaj w studenckim „Arcusie”; w hotelu „Victoria” festiwalowa prawie kawiarnia, gdzie można było zobaczyć Niemena — jurora, usłyszeć kpiącą z recenzentów Mariannę Wróblewską, obejrzeć Andrzeja Dąbrowskiego podpisującego maturzystom stos egzemplarzy książki „Bogowie, groby, uczeni”, dowiedzieć się wcześniej, co Lech Terpiłowski napisze za trzy tygodnie w „Szpilkach”.

Zgrzyty. Impreza pn. „Jazz dla dzieci” w ostatniej chwili odwołana, bowiem Wydział Kultury i Sztuki

Urzędu Miejskiego zapomniał przygotować aparaturę mikrofonową w Ogrodzie Saskim... Piętnaście minut przed planowaną godziną pojawiły się dwa straszne wzmocniacze klasy restauracyjnej i odrapane głośniki. Imprezę, za którą ani organizatorzy ani wykonawcy (prezent na Dzień Dziecka) nie wzięli honorariów, pogrzał kłótnik, nawiedzony przez meksykańską „maniang”. Trudno bowiem zmuszać muzyków, by wystąpili bez półgodzinnej przynajmniej próby, zwłaszcza na świeżym powietrzu.

Wiedziałem wszystkie pięć festiwali, pisałem o wszystkich, do każdego z nich miałem takie czy inne zastrzeżenia. W tym roku był to chyba festiwal — ideal. Bo tak: żaden z uczestników konkursu nie śpiewał big-beatu; dziennikarze przyznali swoją na grodzie wokaliście, który nie wystąpił (pilny wyjazd) w drugim etapie przesłuchań ocenianych przez jury; nikt nie zgłosił najmniejszych pretensji pod adresem jury; nie przyznano nagrody Barbarze Martellińskiej; udało się jam session (w Lublinie rzecz niebywała); koncert galowy był naprawdę galowy; nagrodę publiczności otrzymał najlepszy — zdaniem jury również — wokalista Marek Stryszowski; panował ogólny ład i harmonia.

Chociaż harmonia harmonią, ale bywały curiosa.

Organizatorzy wydali w ubiegłym roku folder ze zdjęciami i notatkami — recenzjami o każdym występującym artyście, który, tak się zdarzyło, pisałem ja. W tym roku autorem jest już inna osoba i wystarczy porównać zdania i akapity z tych dwóch przez różnych autorów sporządzonych notatek, aby popaść w zadumę. Otóż informacja o Krzysztofie Sadowskim, rok 1974: „począwszy od czystego swingu aż do stylu reprezentowanego przez króla organów — Jimmy Smitha — od łatwego jazzu do muzyki awangardowej nagraj na płycie pt. „Na kosmodromie”. A teraz zdanie z tegorocznego programu (1975): „począwszy od czystego swingu, aż do kierunku reprezentowanego przez króla organów — Jimmy Smitha, od łatwego jazzu do muzyki awangardowej nagraj na longplay'u „Na kosmodromie”.

Różnice w tekście zaiste olbrzymie. A takich różnic polegających na zamianach nazwy „płyta” na „longplay” jest sporo. Cytowane w programie z ubiegłego roku zdanie recenzentki „Jazzu”, ujęte w cudzysłowie z podaniem źródła i autora, w programie tegorocznym przypisane zostaje autorowi programu, a dotyczy Ewy Bem... Skąd my to znamy?

Festiwal w Kraśniku i znaki zapytania

Aleksander Jański

AGONIA. To słowo padło w Kraśniku Lubelskim kilkakrotnie podczas VII Festiwalu Pieśni Walki i Pracy, nawet z ust zaprzysiężonych przyjaciół tej mającej już sporą tradycję imprezy. Symptomy choroby dostrzegano przed rokiem, teraz postawiono diagnozę, ale i ponowiono próby znalezienia właściwych sposobów uzdrowienia. Zaprzyżnieni z festiwalem dziennikarze, kierownicy przyjeżdżających do Kraśnika zespołów, członkowie rady artystycznej i jury, władze zlikwidowanego w przeddzień powiatu, po dwudniowych przesłuchaniach — a przed koncertem galowym — stwierdzili zgodnie, że lekarstwa zostały dobrane dość trafnie już w ubiegłym roku. Pacjent jednak nie mógł ich przyjąć, bo nikt ze zobowiązanych mu ich nie podał. Choroba więc, rzecz zrozumiała, poczyniła dalsze postępy. Nawet w sensie ilościowym, bo zgłosiło się z całego kraju do udziału w festiwalu tylko 37 zespołów i solistów, a przyjechało zaledwie 24. Zmniejszenie się liczby uczestników bynajmniej nie podniosło poziomu wykonawstwa.

Kto może wziąć udział w kraśnickim Festiwalu Pieśni Walki i Pracy? Do uczestnictwa w festiwalach opolskim, kołobrzskim, katowickim i zielonogórskim trzeba się ubiegać poprzez podanie się licznym przesłuchaniom i eliminacjom. Tymczasem do Kraśnika może przyjechać i wyjść na estradę amfiteatru każdy. Każdy, kto wypełni łaskawie deklarację uczestnictwa, zaproponował trzy piosenki związane z partyzantką, walką oraz — po raz pierwszy — pracą. Musi jeszcze dołączyć nuty utworów, choćby tzw. prymkę, wyjaśnić czy potrzebuje akompaniamentu, czy też przyjeżdża z pianistą lub zespołem. Zgłosić się mogą piosenkarze-amatorzy, zespołiki wokalne i wokalo-instrumentalne.

Jeśli warunki są tak łagodne, a mimo to uczestnicy nie dopisali, bez przesady można mówić o agonii festiwalu. Opiekę artystyczną nad festiwalem ma, powołana co roku, rada artystyczna oraz Wojewódzki Dom Kultury w Lublinie. Ta pierwsza odrodzona została w tym roku zbyt późno, aby zeszloroczne przestrogi mogły w pełni okazać się lekarstwem.

Nowy regulamin zaakceptowała więc po niewczasie. Jeśli chodzi o WDK, to został on przez kraśnickich organizatorów już wcześniej wyeliminowany z możliwości wpływania na dobór repertuaru oraz poziom wykonawców. Zgłoszenia oddalone w latach poprzednich przez lubelski WDK były następnie z chęcią przyjmowane przez organizatorów bezpośrednio, gdy kandydaci sprytnie omiatali drogę zgłoszenia za pośrednictwem Lublina. Wyniki nie dały na siebie długo czekać. Nastąpiło ogólne obniżenie poziomu, a ambitniejsi soliści oraz zespoły, nie napotykając konkurencji, zaprzestali interesować się kraśnickim festiwalem. Stąd obecny kryzys.

Osobiście wątpię, czy przywrócenie jedynie lubelskiemu WDK możliwości wpływu na dobór uczestników zapewni imprezie odpowiedni poziom. Było to, oczywiście, miejsce choć minimalnej eliminacji, jednak brakowało jej szczebli wstępnych w gminach, rejonach z większą liczbą kandydatów, a przede wszystkim w pozostałych wojewódzkich domach kultury kraju. Z załem należy stwierdzić, że próby takiego doboru solistów i zespołów nie podjęto nawet w województwie lubelskim, w jego poprzednich granicach. Nie dopisały ani powiatowe domy i wydziały kultury, ani Wojewódzki Dom Kultury, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, ani też Wojewódzka Rada Związków Zawodowych. Festiwal kraśnicki nie jest opolskim pitoleniem, posiada interesujące i wysokie wymagania treściowe i ideowe, żądające od wymienionych tu placówek szczególnie pieczołowitej stymulacji oraz opieki artystycznej.

Niestety, diagnozę uzasadnia i podpie-ra coraz słabsze zainteresowanie własnym festiwalem mieszkańców obu, jednoczących się ponoć obecnie, Kraśników. Publiczność, mimo niepewnej pogody, dopisała tylko na koncercie galowym, bardziej jednak z powodu przyjazdu Orkiestry Reprezentacyjnej Wojska Polskiego oraz zapowiedzianych konferansjerek — Krystyny Loski i Bogumili Wander. Zro-

(Dokończenie na str. 9)

sowe oraz dużo zapalu. Nie posiada natomiast magazynów, mocy przerobowych (bo niby skąd?) i wpływów. Te ostatnie przydałyby się bodaj najbardziej.

Górak staje na głowie i przeprowadza wywłaszczenie terenu, pokrytego rzędami rud; stoi tu jeszcze kilkadziesiąt parterowych domków, skazanych na śmierć techniczną. Kupuje we wsiach wiatrak i karczmy, część z nich — niewielką — sprowadza do Lublina. Wszystkich nie może, bo po pierwsze: Pracownia Konserwacji Zabytków nie mają odpowiednich armat, czyli mocy przerobowej proporcjonalnej do potrzeb skansenu... Natomiast montowanie obiektów już zwiezionych do Lublina — np. dworku z Zyrzyna — jest niemożliwe z dwóch względów: bo teren skansenu jest z konieczności (prywatne posesje) nie ogrodzony, a w ogóle to nie ma tam zbyt dużo wolnego miejsca. Wszystko przez te rudery.

Mieszkają w nich ludzie, którym należy dać mieszkania. A to jest beznadziejny problem, ponieważ w grę wchodzi około 150 rodzin, zaś o wiadomej uchwale WRN Lublin zdążył już zapomnieć. Dyrektor wydeptuje korytarze spółdzielni mieszkaniowych „Kolejarz” i „Motor”, prosi o przychylniejsze traktowanie członków, którzy wegetują w słumsie na terenie przyszłego skansenu, ale wszystkie jego wysiłki kwitowane są wzruszeniem ramion. Spółdzielnie mają swoje plany, od kultury jest kto inny, nie zwracajcie nam głowy!

W 1973 roku zaczynają kursować pierwsze kuchenne opinie, kwestionujące lokalizację skansenu. Szkoda terenu — mówią jedni, skansen to luksus — gładzą drudzy. Oficjalnie natomiast wszystko gra, odpowiedzialni ludzie jednoznacznie odpowiadają na pytania dziennikarzy: skansen powstanie tam, gdzie go zaplanowano. Termin także nie ulega zmianie: pełne zagospodarowanie Muzeum Wsi Lubelskiej nastąpi w 1980 roku. Przedsięwzięcie w dalszym ciągu popierane jest przez prasę, odpowiedzialnie publikacje ukazują się w „Trybunie Ludu”, „Sztandarze Ludu”, „Kurierze Lubelskim”, „Kamieniu”, na antenie rozgłośni radiowych. Ryszard Wolak alarmuje w organie Komitetu Centralnego PZPR: „Ponieważ brak przedsiębiorstwa, które zajmowałoby się urządzeniem skansenu, nie

wykupuje się od właścicieli starych domów, nieprzydatnych wiatraków, stodoł itp. obiektów, które należało się powinny w skansenie. Obiekty te — nie konserwowane, często opuszczone, niszczeją... Opieszałość w działaniu równa się więc niepowetowanemu stratom oraz zaprzepaszczeniu szansy wzbogacenia Lublina o atrakcyjną placówkę muzealną”.

Narasta przecież szeptana propaganda. Po cichu, po kątach mówi się wręcz, że lokalizacja skansenu „była dziełem idioty”. Normalne: kiedy idea sięgnęła bruku, kiedy okazało się, że poza dobrym słowem przedsięwzięcie wymaga mocnego wsparcia materialnego ze strony miasta, zaczęło się poszukiwanie argumentów nokautujących sprawę kulturalną (!) Mówi się, że tak piękny teren przydałby się jakiejś spółdzielni mieszkaniowej... Nikt nie wspomina słowem, że skansen jest funkcjonalnie związany z planowanym w tym rejonie Parkiem Centralnym „Dolina Wielkiego Stawu”, który obejmie niemal 200 ha powierzchni. Jego projektantka, inż. arch. Barbara Szymczak, przewidziała w nim m. in. stadion na ok. 70 tysięcy widzów, hale sportowe i boiska treningowe, pływalnię, pawilon restauracyjny, palmiarnię i akwarium, teatr letni, ogród dziecięcy no i właśnie skansen. To wielka sprawa, ten park, doceniana przez władze polityczne województwa, pozostająca w polu uwagi wojewody.

W 1973 roku Muzeum Wsi Lubelskiej przegrywa walkę o należyty mu plac przy ul. Bieruta na rzecz Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego Gospodarki Komunalnej nr 1. Zaczyna się metodyczna amputacja instytucji.

W 1974 roku „Sztandar Ludu” publikuje duży artykuł prezentujący sylwetkę doktora Jana Górkę; dyrektor Muzeum Wsi Lubelskiej patrzy na widza z dużej, ostro wyeksponowanej fotografii. Jesienią 1974 roku w skansenie pojawia się kontrola IKR. Okazuje się, że etnograf jest mało gospodarny.

Na początku 1975 roku powołana zostaje fachowa komisja, która całkowicie uchyla zarzuty stawiane dyrekcji MWL przez IKR. Wcześniej jednak doktor Jan Górak — rozgoryczony klimatem

podejrzeń — składa rezygnację ze stanowiska. Przy końcu marca odchodzi ze skansenu, któremu poświęcił 13 lat roboty i oddaje się pracy rehabilitacyjnej.

Natychmiast potem, 1 kwietnia, Muzeum Wsi Lubelskiej obejmuje nowy dyrektor, znany działacz kultury, który z miejsca zaczyna czytać książki problemowo związane z etnografią.

16 kwietnia skansen otrzymuje pismo Wydziału Gospodarki Przestrzennej i Ochrony Środowiska Urzędu Miejskiego, podpisane przez Henryka Matwiejuka, kierownika, w którym tenże donosi o obciążeniu kawałka muzealnego terenu, potrzebnego dla usprawnienia komunikacji między osiedlami spółdzielczymi a Parkiem Centralnym.

W maju wicewojewoda prosi Ministerstwo Gospodarki Przestrzennej i Ochrony Środowiska o informację w sprawie możliwości zagospodarowania przez skansen grodziska przy ul. Kalinowszczyzna. W tym miejscu jest stary cmentarz, nieczynny od 1942 roku. Szanując pamięć zmarłych, muzeum chciało zachować jego fragment, w pobliżu lokując zabytkowy obiekt sakralny. Termin ochrony prawnej terenu upływa dopiero w 1979 roku, ale istnieją możliwości jego skrócenia. Stąd pismo wicewojewody, nie pierwsze zresztą. Niestety, ministerstwo odpowiedziało — milczeniem.

W czerwcu otwarcie mówi się o zmianie lokalizacji skansenu. Może będzie na Czechowie. Kiedy? Nie wiadomo.

Z wytypowanych ok. 60 obiektów budownictwa drewnianego, które miały trafić do skansenu, 24 już nie istnieją!!! Uległa m. in. zniszczeniu unikalna karczma w Białopolu.

Za rok nie będzie co zbierać we wsiach lubelskich. Czy wiecie państwo, ile zezwoleń na budowę wydał w 1974 r. Urząd Gminy w Tarnogrodzie? 140 — na ogólną liczbę 1300 istniejących tam gospodarstw. Nowe budynki stawia się z reguły na miejscu starych, które rozbiera się na opał.

Ireneusz J. Kamiński

STOSUNKOWO niedawno temu byłam w Warszawie na Skąpcu w gościnnym wykonaniu artystów Comédie Française. Bardzo mi na tym spektaklu zależało. Wiedziałam w ich siedzibie paryskiej przed kilkunastu miesiącami wspólnie przedstawienie *Port Royal*, myślę więc sobie: skoro tak wypadł Montherlant, cóż dopiero za Molière będzie z „Domu Molière’a”. Ale niespodziewanie spotkał mnie pewien zawód. Zresztą w ogóle entuzjazmu na widowisk nie było. Dlaczego?

Jerzy Adamski np. sugeruje (p. nr 22 „Kultury”), że klasycy interpretowani jako klasycy, bez „rekompozycji” nie mogą budzić u nas entuzjazmu. I jeszcze, że odpowiada nam (komu?) aktorstwo rozumiane jako bycie sobą, obnażanie siebie, ukazywanie siebie, a nie jako tworzenie (z siebie) obcej postaci.

Co do mnie, sędzę, wręcz przeciwnie, że wobec rozpowszechnienia się w naszej praktyce reżyserskiej „rekompozycji”, częstokroć niezbyt szczęśliwych, pokaz „tradycyjnego” spektaklu klasycznego, przy perfekcji wykonania aktorskiego, powinien być zainteresować widownię właśnie swą niecodziennością.

Tymczasem reżyser Skąpca naszych znakomych gości, Jean Paul Rousillon, zachowując integralność tekstu arcydzieła, zdecydował się zarazem na przełamanie wieloletniej tradycji stylu aktorskiego Comédie Française i podjęte ryzyko dało w rezultacie styl niejednorodny. Z jednej bowiem strony, postacie dwóch zakochanych par, potraktowane przez Moliera zdawkowo jako katalizator decyzji Harpagona, ujawniający jego charakter, te drugorzędne postacie zostały z korzyścią dla nich „urealnione” (strzyść w danym wypadku niewielka), z drugiej zaś strony, sam Harpagon został pozbawiony Molierowej prawdy psychologicznej przez sprowadzenie go do premolierowskiej stereotypowej figurki Pantalona, gwoździ panującej dziś mody na commédie dell’arte.

Osobiście, straciłam „połowę radości” dlatego, że uduchowiony Harpagon Michela Aumont nie dawał mi okazji pośmiać się z jego autentycznego skąpstwa, a słynna, wyjątkowo tragiczna scena rozpacz nad zniknięciem szkatułki, rozdrobniona gierkami, straciła swą ostrość.

Huragany śmiechu wywoływała natomiast Catherine Samie, grająca autentyczną Froynę Moliera.

Lecz nie piszę w danej chwili recenzji, korzystam tylko ze sposobności, by jeszcze raz oddać głos za równouprawnieniem wszystkich form artystycznych, sprawdzających się w realizacjach. W związku z tym warto przypomnieć, że „odmładzanie” klasyki dramatycznej wymaga na pewno dużej rozwagi, niektóre arcydzieła klasyczne nie poddają się przecie modnym zabiegom teatralnym bez szkody dla utworu. Dobrze się dzie-

je tylko wtedy, gdy rzekome odwołanie dzieła jest w istocie przywróceniem mu pierwotnego blasku za pomocą zdarcia zakrzepłej tandetnej „stylizacji” teatralnej. Tak się miały rzeczy z rewelacyjną planchonowską inscenizacją Grzegorza Dyndala.

W tym miejscu pozwolę sobie wrócić do mego listopadowego „raptularza” paryskiego po odmienny udatny casus „rekompozycji” utworu klasycznego. W pełni uzasadnionej, ponieważ obiektem jej stała się słaba sztuka arcyślawnego pisarza. Była to mianowicie tendencyjna komedyjka Goethego *Le Citoyen Général*, znana prawie wyłącznie historykom literatury.

Otóż wspomniany kilkakrotnie w moich reportażach z Paryża dyrektor Centre d’Animation Culturelle Malakoff, Guy Kayat i jego żona Claire Lise, poetka firmująca swoją twórczość panieńskim nazwiskiem Charbonnier, zabrali mnie pewnego wieczoru z hotelu do wyżej wymienionej siedziby ich Théâtre 71, na gościnny występ trupy tzw. *Spectacles de la Vallée du Rhône*, zamieszkałych w mieście Valence, lecz przenoszonych też na inne sceny, zgodnie z zasadą objazdów upowszechniających kulturę teatralną.

Wiadomo, że Goethe łączył w paradyksalny sposób geniusz twórcy i myśl humanistyczną z konserwatywnym polityczno-socjalnym. W roku

1793, wystraszony nasileniem terrorku we Francji, w obawie, by wydarzenia francuskie nie podzielały jak „zaraza” na rządy systemem „oświeconego absolutyzmu” Niemcy, pisze poeta dla swego teatru weimarskiego parę pływających sztuczek „lemnicznych w tonie karykatur antyjakobińskich *Wiener Zeitschrift*, odmalowujących „Apokalipsę spod trójbarwnego sztandaru”. W *Citoyen Général*, o którym tu mowa, Wielka Rewolucja Francuska wygląda jak groteskowa farsa rozgrywająca się pomiędzy lobuzem a naiwniakiem, wygląda jak pretekst do hochsztaplerstwa i grabieży.

Biorąc na warsztat owego *Citoyen Général*, Alain Rais, dyrektor trupy, adaptator i inscenizator komedyjki Goethego, granej obecnie na scenie francuskiej po raz pierwszy, mówi m. in., że jest to okazja do poruszenia kwestii aktualnych. Przy umiejętnym jej wykorzystaniu rzecz, na dawne czasy kontrrewolucyjna, pozwala osiągnąć efekt odwrotny, albowiem dramatis personae ulegają tu siejącej postrach propagandzie gaziarskiej. Czyż nie spotykamy dzisiaj — kontynuuje Alain Rais — analogicznego strachu przed czerwonym ludźmiercą w przypadku rewolucji wybuchającej w obcym kraju, na którą reagujemy emocjonalnie, zaleźnie od podsuwanych nam, częstokroć sfałszowanych, obrazów. Takie nieporozumienia stanowią o komizmie utworu „i o stabilności władzy „dobrego Pana”.

Czy — zapytam teraz z kolei — czy artyści de la Vallée du Rhône wyprzedzili krzywdę sławnemu autorowi poddając adaptacji jego komedię napisaną „na gorąco”? Z pewnością nie, skoro zrobili z niej dowcipną, aktualną satyrę i godziwą poyciej rozrywkową. Nadto uczynili wszystko, by uwydatnić niewątpliwie humanistyczną (generalnie rzeczy biorąc) postawę poety, przy pomocy interpretacji innych jego tekstów, zapożyczonych z *Maksym* oraz *Korespondencji* i *Rozmów z Eckermanem*, gdzie znajdujemy m. in. taki passus:

Nie mogłem być przyjacielem Rewolucji francuskiej — zwierza się Goethe w r. 1824 — ponieważ jej okropieństwa odbywały się za blisko ode mnie, oburzając mnie co dnia, co godziny, podczas gdy jej dobroczynne skutki były jeszcze nie do przewidzenia.

Sądzę, iż adaptacje rodzaju zastosowanego przez dyr. Alaina Rais można stawiać za wzór dobrej roboty teatralnej.

W sumie spektakl był żywy, całkiem nowoczesny — na miarę dyspozycji zespołu. W dopisanym prologu rozrzucono słomę, niczym u Planchona bądź Swinarskiego. Dwie osoby o zawiązanych oczach oglądały z pietyzmem na niby weimarskie Muzeum Goethego. Skojarzyło mi się to z Różewiczowskim „Na czworakach”. Moderna po ludziach żwawo chodzi.

W PARYŻU BEZ MISJI (5)

Coś niecoś o „rekompozycjach”

Maria Bechez-Rudnicka



Spectacles de la Vallée du Rhône
J. W. Goethe — „Citoyen Général”
Photo Studio 33. Valence

CNOTY I GRZECHY W OBRAZKACH

Anna Przyborowska

Kamena str. 6

ŻYCIE współczesne atakuje wyobraźnię i umysł człowieka ogromną ilością form, idei, zjawisk. W różnorodnym świecie środków oddziaływania wciąż odnajdują się nowe, bardziej skutecznie przemawiające do odbiorcy, lepiej kształtujące jego postawę. Lecz nie rezygnuje się także z dawnych wypróbowanych metod i instrumentów. Do takich można zaliczyć symbol i alegorię. Narodzone w świecie antycznym, przeżywały okresy popularności i zapomnienia, by przetrwać do czasów dzisiejszych, by pozostać nośnikami myśli i idei. Jedynie część z nich miała treść czytelną tylko dla pewnych, zamkniętych grup (np. symbole masonerii), wiele posiadało zasięg powszechny i te stały się ponadczasowe. Trwałymi symbolami i alegoriami oraz fakt, iż dzięki nim przekazywano istotne treści epoki, uzasadnia zainteresowanie nimi badaczy doktryn i ideologii.

Problematyka ta znalazła swój wyraz w pracy niewielkiego zespołu (w którego skład wchodził m. in. mgr Zofia Stojakowska) działającego w Zakładzie Teorii Państwa i Prawa UMCS. Inspiracją dla zespołu stało się spostrzeżenie, że egzystencja symbolu i alegorii wcale nie kończy się, że ich czytelność nie maleje, mimo iż współcześnie dysponujemy tak wieloma i różnorodnymi środkami przekazu. Symbol krzyża, alegoria włośny, alegoria sprawiedliwości, statua wolności to tylko niektóre spośród tych, których znaczenie nie uległo przeobrażeniu.

Większą zmienność wykazuje rozwój języka; wymowa znaków i same znaki pozostają niezmiennymi.

Ogromne było znaczenie alegorii i symboli w średniowieczu; gdy znajomość pisma miała charakter elitarny, obraz docierał do większości odbiorców, którzy jakby pomijali jego dosłowną treść, odczytując w sposób prawidłowy i jednoznaczny przenośny sens.

Nowy etap w rozwoju symbolicznego języka alegorii otworzyła Rewolucja Francuska, podczas której czerwona czapka — bonnet rouge, noszona przez galerników była symbolem burzycieli dawnego porządku; zdobiono nią drzewa wolności.

Ważny kolejny moment w historii alegorii i symboli stanowi Rewolucja Październikowa. A czasy dzisiejsze potwierdzają doniosłość tych form ukształtowanych w ciągu wieków.

Interesujący jest fakt, że w przypadku alegorii wiedzie droga od idei, która towarzyszy twórcom, do obrazu, przy czym związek między przedmiotem przedstawionym a ukrytym znaczeniem jest konwencjonalnie ustalony; symbol charakteryzuje odmienną sekwencją, a ów związek opiera się na nie w pełni określonej analogii. Wydaje się czasem zaskakujące, jak owe symbole i rozbudowane metafory mogły tak łatwo dotrzeć do średniowiecznego odbiorcy. A przecież docierały, o czym świadczą częste posługiwanie się dydaktycznym językiem, tworzenie złożonych syste-

mów oderwanych pojęć przedstawianych za pomocą tych form. Korzystała z nich przede wszystkim sztuka sakralna do przekazania ideologii Kościoła, do kształtowania wyobrażenia wiernych o tym, co jest dobre, nienaganne z jego punktu widzenia, a co grzeszne, zasługujące na potępienie. Chodziło o ujęcie pewnych abstrakcyjnych kategorii wartościowania, które Kościół chciał narzucić swoim wyznawcom, o ukazanie cnoty i grzechu w obrazowej, lapidarnej postaci. Symbol i alegoria miały wywołać silne religijne przeżycia, oddziaływać na pobudki sterujące postępowaniem, przy czym musiały być na tyle jasne i precyzyjne, by człowiek nie gubił się w domysłach i domysłach, by kojarzenie było natychmiastowe, pomijające dosłowną treść, a ocena zgodna z ustalonym, sztywnym systemem wartości i ich hierarchią.

Tak narodziły się wspaniałe średniowieczne cykle rzeźb cnot i grzechów, „Summa teologiczna” (określenie prof. Seldera) zamknięta w kamiennych figurach katedry w Chartres i Notre Dame w Paryżu. O rzeźbach z Chartres Piotr Lavendon powiedział, że jest to „najwspanialszy kamienny poemat jaki kiedykolwiek stworzono — Boska Komedia dla maluczkich”.

Alegoryczne formy ideologii kościelnej francuskiego średniowiecza znalazły swój oddźwięk także poza granicami kraju. Dlatego ogromnie ciekawym zadaniem

(Dokończenie na str. 12)

PO- SEJDON

W PIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI KONRADA BIELSKIEGO

MOŻE nie tyle o Konradzie Bielskim, co z powodu Konrada Bielskiego należałoby napisać studium. Aż studium. Właśnie on jak mało kto poddaje temat przeszłości Lublina, pokoleniowych po pierwszej wojnie zrywów i resentymentów, na modłę jeszcze romantyczną, a może tylko cygańską niespełnionych nadziei — czasu, który odszedł i prawem logiki dziejów został zapomniany, a jakże był żywy. Żywy w swych dokonaniach i błędach.

Tu zastrzegam, że ktoś, kto nie ma pięćdziesiątki, nawet przy najlepszej woli nie znajdzie prawdy w tych słowach. Posądzi je o przesadę. Nie dziwnego: od tego czasu dzieli nas nie jedna, ale parę formacji kulturowo — obyczajowych. Wojna. Okupacja. Wynalazki techniczne. Standard życiowy. Klimat stosunków towarzyskich. Panowie, starzejcie się prędzej, inaczej się nie porozumiemy!

A właśnie chciałem zakomunikować, że „Most nad czasem” Konrada Bielskiego jest moją lekturą do poduszki. Tak, ten wcale nie najlepiej, bo chyba zbyt pospiesznie napisany „Most nad czasem”. Ten tekst mimo porządku chronologicznego dość chaotycznie wyrwany z pamięci, rzucający na papier w charakterze brulionu mającego zawrzeć przede wszystkim świadectwo. Więc dlaczego go czytam, dlaczego po nużących perypetiach dnia przydzielić muszę porcję tej lektury w charakterze kojącego elenium? Bo trafiam tam na obraz namalowany w jakże tyjtanowskiej tonacji. Możliwe, że ma to do siebie perspektywa retrospekcyjna zachowująca przede wszystkim wydarzenia sercu bliskie, ale urzeka mnie, może i nieco zafalszowana, arkadyjskość przedstawionego świata. Brak ostrych konturów. Dalipies, ma się ochotę uciec te kilkadziesiąt lat wstecz.

Cóż z tego, że pani Wańciszakowska napisała tom wierszy „Jesienne róże”, a więc coś, co współczesnym krytykiem powinno wstrząsnąć aż do młodości przez skojarzenia z jeleniem na rykowisku, skoro ten fakt oparł się wiadomo jak miazdzącej próbie czasu, a więc czemuś więcej niż gust najkrytyczniejszego krytyka? Poza tym weźmy poprawkę na odrębność kryteriów. Każda epoka je tworzy szeregiem warunków swojej obyczajowości, charakterem życia umysłowego, rodzajem zainteresowań, stylem myślenia, stawianiem problemów filozoficznych i egzystencjalnych. Chcesz ocenić, wejdź w nią. Wer der Dichter will verstehen... O, nie mówię, że mam tu do czynienia z samymi bezspornościami wydarzeń i opisu. Ale urzeka mnie między innymi i to właśnie, że mimo wyraźnych zaniedbań w stylistycznej warstwie utworu, mimo pewnych — w konwencji wspomnienia uroczych — przecież — kłamstw i egzageracji, nie mam prawa do dezaprobaty, ciągle będąc połączony ku zainteresowaniu nieustającym szmerem narracji. Tak, „Most nad czasem” to najtrafniejsza w swoim rodzaju bajecz-

ka o świetności dawnego Lublina. Kiedyś, synku, był sobie „Reflektor”... I czy ja, już nie synek, ale stary smakosz bajek nie mam nadstawić ucha na słowa rozlegające się w tej jakże świetnie amplifikującej przeszłość akustyce dykteryjki, anegdoty, legendy?

Tu się zaraz powie, że wydarzenia kulturalne dawnego Lublina mogą być ciekawe tylko przez zawężenie skali ocen i terenu obserwacji, a ujrzone na szerokim tle krajowym maleją, nabierając w dodatku znamion, znamion... No, śmiało: prowincjonalnych. Tak jest! Ale po pierwsze — jest to prowincja, z której wyrósł Czechowicz; po drugie — rzadko kiedy prawdziwy talent rodzi się w stolicy, raczej po narodzeniu i wyrośnięciu na prowincji do stolicy ciągnie; a po trzecie — jest parę znaczeń wyrazu „prowincja”. Lublin fin de siècle (jego przedłużenie sięgnęło przecież lat dwudziestych, a nawet trzydziestych naszego wieku) to miasto o tych dobrych tradycjach humanistycznych, w których postrzegano dla literatury, twórczości, wartości intelektualnych jest rzeczywiste i cenne nawet wtedy, kiedy z różnych powodów nie pojawiają się uwiarytelniające je spełnienia. Dajcie mi taką prowincję dziś. Prowincję znających się na malarstwie adwokatów Miernowskich, bibliofilów odbywających swe długotrwałe i wielotematyczne sympozjony u księdza Zalewskiego, Skrzywanów kupujących teleskop dla zaspokojenia prywatnego hobby. Wolę ją od „otwartej” europejskości dzisiejszej kultury „rozrywkowej” opartej na zasadzie wrzasku, od atmosfery artystycznej współpracy mającej wszelkie podobieństwa z wsiadaniem do trolejbusu.

Co teraz mamy? Aha, modę „retro”, jak do niedawna „porno”, jak przedtem „pop-art”, jak kiedyś „relaks”. Nie umiemy myśleć, jeśli nie urządzimy spędu pojęć. Choć trzeba dodać, że co do „retro” sprawa jest od razu przegrana. Nie ma powrotów w sztuce. Nie ma powtórki gustów nawet dla celów seminaryjnych. Na przykład secesja. Linia secesji uformowała cała epoka razem z tubami jej gramofonów, makijażem jej kobiet, pędami roślin pnących się na kratownicach w ogródkach czy za firankami. Ba. Był czas, kiedy do nietaktu należało pić herbatę wyjąć łyżeczkę ze szklanki. Kto na to parska śmiechem, niech nawet nie zabiera się do rozumienia secesji. Owszem, literę „A” czy literę „D” da się graficznie wymodelować w stylu moderny na napisie reklamującym dyskotekę, ale ostatecznie i płaszcz kąpielowy możemy uznać za podobny do togii.

Nie zrażając się podobieństwem do chwilowej mody mam swój czas przeszły prywatny. Ten właśnie, który tak charakterystycznie wypełnił Konrad Bielski — lubelski Posejdon wiodący orszak trytonów i nereid, skąpany po brodzie w oceanie życia, używający trójzębu przede wszystkim do otwierania Martini i Courvoisier. Co za postać. Przecież skłamał-



Konrad Bielski i Julian Przyboś. Nałęczów. Czerwiec 1968

Fot. S. Wojski

bym, gdybym w tym miejscu — jak to w konwencji wspomnienia — przyznał mu literacką rangę Villona czy Verlaine'a. Ale liczy się nie przez to, że był świetny. Liczy się przez to, że był. Ten trochę niesymetryczny, rubaszny samym wyglądem, jakby przepychający się przez tium nawet wtedy, kiedy nikogo nie było, zapelniał tak wymownym, tak plastycznym ruchem scenę swojego czasu, jakby w zaświatach przed narodzinami studiował reżyserię zwyczajnego życia. Bo on stwarzał nie tylko siebie. Szczególnym zrzędzeniem natury, która mu przyznała takie właściwości, stwarzał sytuację. Jego obecność nadawała znaczenie zebraniom, zajęciom, grupom. Kto jeszcze pamięta tych dwóch — Bielskiego i Gralowskiego — idących ulicą? To nie było poruszanie się w ruchu ulicznym. To był dyskurs perypatetyków z nieustannymi postojami (serce) i gestami wyciągniętej dloni (potrzeba podkreślenia kwestii) Konrada.

Prawda, przy tych słowach można się trochę skrzywić. Ze niby zmarłym czuł się nie odmawia, ale po co ta reklama przeszłości, przecież w żadnej mierze niemożliwej do powtórzenia, a niemożliwej szczególnie w dzisiejszych warunkach pośpiechu. Otóż w tym sęk, że minione, jak nie mieści się w ramach dnia dzisiejszego, tak nie zostaje bez znaczenia dla dzisiejszych pojęć, opinii, norm. Nie zostaje nawet wtedy, kiedy dziś na nie „nie ma czasu”. Jest naturalne, że grzebniemy swoich zmarłych. Chodzi o to, byśmy nie grzebali wartości humanistycznych przez to tylko, że przeszły tradycją z ubiegłopokoleniowej formacji kulturowej. Jest potrzebna ochrona środowiska humanistycznego, środowiska określonych postaw, zachowań się, sposobów myślenia. Retro? Owszem, ale nie w charakterze atrakcyjki towarzyszącej oglądaniu niemego filmu, na którym zdarzają się naiwne gagi, nie w charakterze pobłażliwości o puchowym trenie śniegu, właściwie kiepsko przypominanej przez Mieczysława Fogga. Retro — dla poruszenia skali doznań i wzbogacenia

zasobów umysłowych doświadczeń. Dla odżywienia psychicznego organizmu składnikami, które z wielu powodów nie trafiają się już w dzisiejszej ekosferze kulturowej. Tak te „Dziady” mamy odprawiać.

Właściwie — bo i to dla pełnej osobowości trzeba wydobyć na jaw — wypada stwierdzić, że wiele w tym życiu nie doszło do skutku. Gdzie na przykład zamierzony tom wierszy „Krew i whisky”? Gdzie powieść „Sny Robinsona”? Gdzie przekładowy tryptyk Catullus — Tibullus — Propertius? Sam Bielski stwierdza, że ten „Reflektor” raczej przegadali. Tak. Ale po drugiej stronie buchalteryjnego zapisu musi się znaleźć ile inwencji i energii związanych z „Szopką lubelską”, jaka pamięć wierszy i monologów kabaretowych, choćby z Qui pro Quo, jakże ujmujący upór w towarzyszeniu wydarzeniom muzycznym przy absolutnym braku słuchu i głosu. (Kto kiedyś słyszał Bielskiego nucącego, niech się ujawni, wnieśli biograficzną rewelację). Ale nie chodzi o wyprawdanie bilansu. Bielski był to ktoś całą szerokością swej osoby idący przez sprawę, fenomeny, nadzieje i rozczarowania swojego czasu. Mimo takich i owych zaniechań — ktoś integralny. Nie — odtąd dotąd poeta, odtąd dotąd wykonawca zawodu, odtąd dotąd zwolennik dobrej kompanii, odtąd dotąd gawędziarz. Jego usposobienie, jego pamięć, to nieustająca „grająca szafa” na okoliczność każdej chwili poetyckiej, towarzyskiej, uroczystej i codziennej. Publicznej i prywatnej. „O radości, córo bogów” — te słowa jego przyjacieli widzieli wypisane na drzwiach jego mieszkania. Słowa przesłaniające napis informujący o tym, kiedy adwokat Bielski przyjmuje. Bo dobry wiersz, dobry żart, dobrego rozmówcę przyjmował zawsze.

Napis na płycie nagrobnej zawiera pomyłkę. Zamiast czerwca wyrzeto lipiec. Jaka szkoda, że to pomyłka! O cały miesiąc byłbym bogatszy.

Z. M.

GARMONDEM

WJEDNEJ z gazet lubelskich znalazłem ogłoszenie: sprzedam obrazy z XVII wieku. Pobiegłem pod wskazany adres, gdzie zaferowano mi niewielki pejzaż holenderski, być może z kręgu „małych mistrzów”, oraz dwa portrety z XIX wieku, raczej przeciętne, ale ostatecznie warte uwagi. Był jeszcze jeden „holender”, lecz został już sprzedany jakiemuś historykowi sztuki. Ile? — zapytałem. Krajobraz za 9 tysięcy, oba portrety — „bo to zestaw” — za 13 tys. zł. Skąd pochodzą? Właściciel wyjaśnił, że o-

trzymał obrazy w spadku po dziadku. Prawdopodobnie ale w tym przypadku mniej ważne.

Istotne natomiast, że na ogłoszenie prasowe, które ukazało się już kilka dobrych dni przed moją wizytą, nie zareagowała żadna lubelska placówka muzealna. Skąd ta pewność, że prywatny kolekcjoner nie może posiadać np. Rembrandta? Przesadzam? Kto to mi udowodni, nie widząc przedmiotu sprawy! Ośmielam się przypomnieć, że w skromnym kościele w Kosowie przez wiele lat „ukrywało się” dzieło El Greca, bo wielu fachowców nie dopuszczało myśli o istnieniu w Polsce czegoś tak wielkiego. Ostatecznie

chodzi tutaj o wrażliwość zawodową naszych muzealników, która nie powinna być ornamentem roboty, lecz jej cechą konstytutywną.

JK

* * *

Trener Gajewski opuścił „Motor”, drużyna nie weszła do I ligi piłkarskiej. Można zatem spodziewać się kolejnej fali lamentów nad poziomem lubelskiej piłki nożnej, szukania „winnych” tego, że ktoś nie potrafi kopać w biegu. Upredzając sytuację ośmielam

się poradzić trochę opanowania kolegom zajmującym się tematyką sportową oraz kibicom i działaczom. Ostatecznie są w sporcie zwycięzcy, są pokonani, tak się składa, że właśnie „Motor” gorzej od innych drużyn drugiej ligi kopie. A poza tym Lubelskie Zagłębie Węglowe, jeśli okrzepnie, na pewno dokona cudów i zamieni naszą piłkarską mizerię w kunszt najwyższy i wictorię. Nieprawdaż?! O ile, rzecz jasna, rzadziej widywać będziemy piłkarzy w „Victorii”.

IJK

SLUCHALEM kiedyś dyskusji inżynierów - architektów statków.

Ależ panowie — zawołał jeden — gdybyśmy zbudowali duży statek o tak małym zanurzeniu, straciłby klasyczne piękno. Gdzież fundamentalne kanony sztuki budowania okrętów?

Do diabła z nimi — odpowiedział drugi. — Jeśli będzie trzeba, nasze statki przybiorą postać balii. Decyduje zamówienie armatora i jego rachunek ekonomiczny.

Otóż i macie przykład! Kształt kadłuba obliczą wam komputery określające zależności między wielkością statku i siłą jego maszyn, a także spodziewanymi kosztami eksploatacji. Analiza wartości: najpierw — co ma wozic, skąd i dokąd pływać i żeby było jak najtaniej. W tym ostatnim parametrze uwzględni się też bezpieczeństwo statku, niezawodność urządzeń nawigacyjnych i napędowych, obliczy koszty eksploatacji. Dzielnosc morską statku, w legendach określaną jako zdolność przeciwstawienia się siłom wiatru i wody, potędze groźnego Neptuna jest dziś tylko zdolnością do zarobkowania, sprawnością w służbie Neptuna — księgowego.

Wszystkie przeobrażenia statków i zmiany sposobu ich eksploatacji — to nic innego tylko stosowanie najekonomiczniejszej technologii przeladunków przewozu towarów wraz z wykorzystaniem postępu technicznego. Kulawo nadażają za nimi przepisy prawa morskiego, zakresy uprawnień i obowiązków różnych służb morskich, na samym zaś końcu wloka się nasze archaiczne pojęcia o morzu, Neptunie i nasze sentymenty.

Najtrudniej to wszystko zrozumieć starym marynarzom. Przywiązani są do statków, na jakich pływali po trzydziści i więcej lat. Pokochali parowce, na których

przeszło całe ich życie. Latwo znajdując na nich swoje miejsce, wiedząc na czym polegają ich obowiązki, nikt im niczego tu wyjaśniać nie musi.

Pokochali statek? Czy się aby nie zagalopowałem? Przywiązujemy się do swego mieszkania, po pewnym czasie każdy — nawet najdrobniejszy — przedmiot ma w nim swe

czątkowały powojenny rozwój naszej floty, nawiązały nasze więzi z całym światem i wyszkolili tysiące marynarzy. Armatorzy kupują statki nowoczesne, zdolne sprostać warunkom morskiej konkurencji. Któż by się tam przejmował sentymentami starych marynarzy? Współczesny Neptun jest osobnikiem bez serca, jak prawdziwy księgowy...

nie ma swego portu docelowego. Kapitan zna nazwę następnego portu i wie, co wiezie. Żegluga trampowa ma jeszcze czasem i dziś coś z tradycyjnego morskiego wiórzęstwa, choć PZM armator trampowy, poprzez korzystne dla siebie i naszego handlu zagranicznego wieloletnie kontrakty skutecznie ją tego reliktu przeszłości pozbawił.

Rozliczne są obowiązki bosmana. Nie tylko jest ojcem i matką marynarzy pracujących na pokładzie. Ma najbliższe kontakty z portowcami odbierającymi ze statku towary i załadowującymi nowe. Pierwszy oficer odpowiadający za ładunek, jest wysoko a nad nim, hen — na mostku, nieosiągalny bóg — kapitan. Bosman z „Boginki” dobrze znany był więc afrykańskim portowcom, a ponieważ nie potrafił wymówić nazwy statku (i tak mieli szczęście, że nie była to „Kopalnia Szczygłowice”), przechrzcili go na „Bundziga”. Stąd i „bosman Bundziga”, człowiek w służbie wymagający, ale ciekaw życia; nie stroniący od nieoficjalnych kontaktów z krajowcami. Jego sława w Afryce Zachodniej wzrosła jeszcze bardziej, gdy został ojcem chrzestnym pierworodnego syna czarnego brzdądzisty portowego. Ceremonia odbyła się w głębokim buszu. Zgodnie z obyczajami plemienia, bosmanowi — niech już tak zostanie — Bundzidze, przybyła szrama po rytualnym nacięciu skóry, a Afrykanie ma je już swoje sposoby, aby o fakcie wstąpienia naszego bosmana do czarnej rodziny wiedzieli w promieniu bardzo wielu kilometrów.

Bosman Bundziga zaczął pływać na morzu w 1934 roku. Jako czterastoletni chłopak nawiał z gimnazjum czcigodnych księży Salezjanów, ponieważ — jak sam powiada — było mu trochę za dużo tego modlenia, z drugiej strony człowiek chciał poznać trochę świata. Rozpoczął pracę na parowcach „Lublin”, „Wilno”, „Katowice”. Rok 1939 zastał go na statku żeglugi przybrzeżnej s/s „Gdynia”. Przeżył

BOSMAN BUNDZIGA

stałe miejsce, coś nam przypomina. Odnajdujemy na nim dotyk własnej ręki, żyją tu wspomnienia miłych sercu osób. Statek dla marynarza to coś mniej aniżeli dla nas mieszkanie, ale i więcej zarazem. To także miejsce pracy, przyjacieli, któremu powierza się własne życie, kawałek ojczystego kraju.

Tymczasem epoka tradycyjnych parowców kończy się. Kolejno odchodzą na złom „na żyłki” — statki, które wygrały na morzu drugą wojnę światową, które zapo-

Pierwszy zwrócił mi na to wszystko uwagę bosman z „Boginki”. „Boginka” to niewielki statek kabotażowy, czyli pływający niedaleko od brzegów. Nasz bosman pływał na nim kiedyś przez trzynaście miesięcy wzdłuż Afryki, od Wybrzeża Kości Słoniowej — do portugalskich kolonii. Wysp Samp-tome. Statek pod armatorskim znakiem „Polskiej Żeglugi Morskiej” woził od portu do portu towary w żegludze trampowej. Najkrócej o takim statku można powiedzieć, że

BIAŁA

Zygmunt Mikulski

DO Białej Podlaskiej jedzie się po 'akacjach. Przesada? Nawet jeśli, to w ramach licencji reporterskiej, o co nie będzie miał pretensji ani Melchior Wańkowicz z Wiecznego Areopagu Polskiego Reportażu, ani Jerzy Lovell z Krakowa. Zresztą po minięciu Parczewa tych akacji jest tyle, jakby cała Polska flora przydrożna u Wyczółkowskich i Chelmońskich upostaciowana w wierzbie dokonała zmiany frontu i na pierwszy plan spotkania z jadącymi wysunęła akacje. Az szkoda mijąć te nawisy kwiecia zagęszczające zapach zadumy i zakochania. Zaraz, zaraz, bo znowu może być za swobodnie. Przecież „galaż akacji woń to lichtarzy miodu i uciech” — pisał Czechowicz...

Biała, Biała. Kiedyś jechało się tam po prostu na prawach „swojego”, bo z tego samego województwa. Ale w charakterze „gościa” ma się co nieco inne samopoczucie. Bardziej oficjalne. Biała skoczyła w awansie administracyjnym i to na innej płaszczyźnie ustanawia jej sąsiedzkie stosunki z Lublinem. Ale znów: inaczej tylko dyplomatycznie. Bo bliskie partnerstwo gospodarze i towarzyskie będzie zachowane. Może nawet się wzmocni?

W każdym razie mam z tego prywatny zysk: jestem pierwszym w Polsce dziennikarzem, który odwiedza województwo Biała Podlaska. Proszę to zachować w archiwach. A jeśli temu życzeniu zadość się nie stanie, to nie omieszkam tego faktu podkreślić w swoich wspomnieniach.

I chyba raczej to drugie doczeka się realizacji, bo na terenie nowo powstałego Urzędu Wojewódzkiego w Białej Podlaskiej nie bardzo mogę zaznaczyć swoją obecność. Jest tak jak po wprowadzeniu się do nowego mieszkania. Nowe pokoje trzeba umeblować referatami, a nowe województwo koncepcjami, w związku z czym organizacyjne napięcie początków osiąga wskaźnik wysoki i powoduje gorączkowa krzątanina. „Powstaje nowa władza” — to się odczuwa wyraźnie, a ja dodatkowo mam swoją własną okazję skojarzenia sobie tego z atmosferą pierwszych dni lipcowych 1944 roku. Nie tych pierwszych w kalendarzu, ale pierwszych po wyzwoleniu. Podobieństwo jest. Na

drzwiach pojawiają się tabliczki z nazwami urzędów, o których jeszcze parę dni temu mowy być nie mogło. W każdym razie dla miasta Biała Podlaska to niewątpliwie dni historyczne.

— Panie wojewodo, okazuje się, że od lubelskich dziennikarzy nie da się uciec nawet do innego województwa. W związku z tym...

Ale Jerzy Cywoniuk nie ma ochoty na urzędowe exposé. Dopiero co sam przyjechał i jeszcze dobrze się nie rozglądął. Cóż, sam widziałem, jak jeszcze parę dni temu wręczał nagrody działaczom kultury jako dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie. Zresztą widzę, że nie bardzo jestem potrzebny do notowania faktów, bo te dopiero się tworzą, a jeśli chce znaleźć się u narodzin białskiej „nowej rzeczywistości”, to jest do tego sposobność w postaci konferencji, która ma się odbyć za chwilę i już przechodzi swe preludium w gabinecie wojewody Józefa Pieli. Ale czy zaczynać od górnego „c”? Wołę swój reporterski solfeż przeciwzyć w tonach mniej oficjalnych i przez to mniej wymagających. Za to, o ileż bardziej sposobnych dydaktycznie. Przecież tego nowego województwa muszą się dopiero uczyć.

Słusznie, podróże kształcą. Czyli — do Hrudu. Cóż, wieś całkiem sobie. To widać na oko. Może idealnym uporządkowaniem przestrzennym jeszcze nie grzeszy, bo narastająca zamożność czyni z niej coś jakby plac budowy, ale ma się wrażenie, że kiedy zamierzony standard zostanie osiągnięty, przyjdzie kolej nawet na froterowanie. Na razie za dużo tego żelaza, które jest gorące.

Przed wszystkim zwraca uwagę ilość inwentarza. Łazi to sobie sielsko po zagrodach, chrząka, gęga, popiskuje, wygląda na to, że w Hrudzie nieustannie trwa pora karmienia. Gdzieś tam kotek, jeszcze za mały, żeby wejść na plotek, co tam grzebie przy cementowej cembrowinie. Ale jakże na ten plotek kiedyś wejdziesz, skoro każdy prawie jest żelazny. „Kolo żelaznego, świeżo malowanego plotu” — taką ciągle otrzymuję informację i w końcu się polapuję,



Fot. Z. Zugał

że to mnie wcale nie urządza, bo takich plotów jest sporo. Widocznie informatorzy w domyśle uwzględniły tylko te powstałe ostatnio, ale jak nie ma znajomości adresów, tak nie mam klucza do domów.

Poza tym masa siporexu. Leżą sobie szare granostopy i czekają. Oczywiście, przede wszystkim na obory i chlewnie bo wieś ma wyraźne „nachylenie hodowlane. Na 100 ha użytków rolnych w Hrudzie przypada 60 sztuk bydła podczas gdy przeciętna gmina wynosi 51,9. Trzody chlewniej w Hrudzie to duży się 204,4, w gminie — 137,1. Koni jest 14,1 wobec 12,1. Co nie znaczy, że ile jest z produkcją mleczną. Przeciętne plony trzech podstawowych zbóż wynoszą 28 q z ha. Trzech ponieważ jęczmień w Hrudzie w ogóle się nie uprawia.

Ale oto wyszło słońce zza chmur a gospodarz przed próg domostwa. Jest anonimowy rozmówca. Postanawiam i ja zostać anonimem. Czy zawsze trzeba rozmawiać poprzez nazwisko i zawód? Zaczynam coś o słońcu, by w końcu dowiedzieć się, że...

— ...w moim gospodarstwie najbardziej przydało się skasowanie miedzi.

— Jak to? Przecież wieś nie jest spółdzielczą.

— Nie jest, ale mówię o komasacji gruntów. Dawniej trzeba było latać ze splachetka na splachetkę dzisiaj mam wprawdzie w trzech kawalkach, ale nie tak daleko od siebie.

— To sprawa dla mężczyzny. Kobięta chciałyby spytać przede wszystkim o dzieci. Uczą się?

— Już nie.

— No?

— Bo rok szkolny skończony. Dostały świadectwa i to nieźle. Żeby tak dalej.

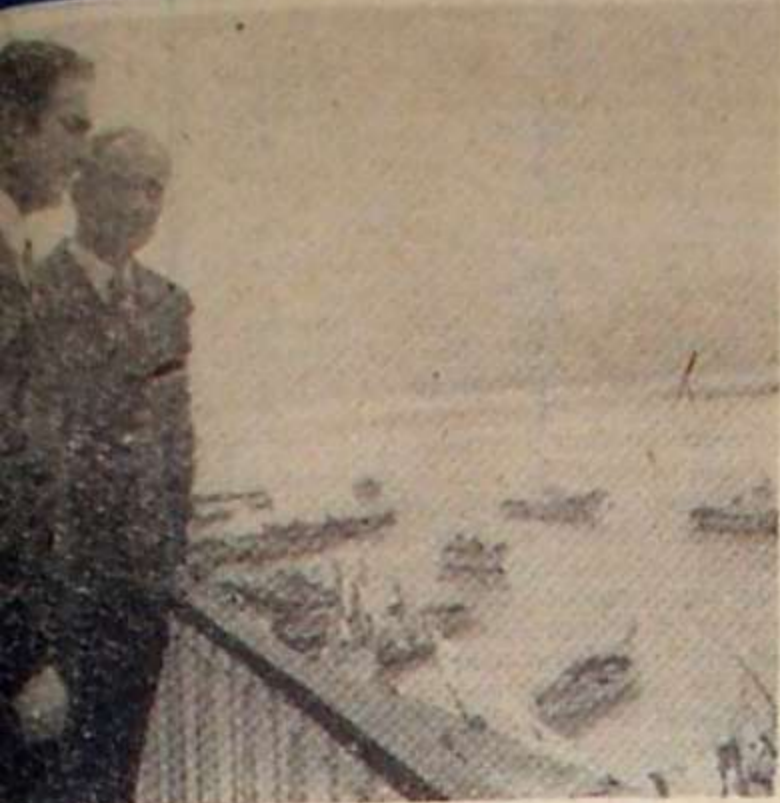
— A w ogóle?

— Tak jak dzieci. Nie ma na co narzekać. Kto chce się do roboty przyłożyć, ten ma z tego pożytek, a u nas na ogół robota idzie.

Gdzie indziej przekonuje się, że nawet przyspiesza kroku. Gdzie indziej to znaczy w międzykółkowej bazie maszynowej. Henryk Polynko jest inżynierem rolnikiem absolwentem Akademii Rolniczej w Lublinie, wiceprezesem byłego Powiatowego Związku Kółek Rolniczych i... rolnikiem we wsi Hrud. Czy po skończeniu studiów powrócił na gospodarstwo? Po skończeniu studiów na gospodarstwo nie powrócił, ponieważ gospodarstwa nigdy nie opuszczał. Studiował zaocznie pracując na roli. Tu mimo pewnego dydaktycznego doświadczenia mam minę trochę niewyraźną.

— Tak, nie było łatwo. Na przykład — zbliżają się slankosy i sesja egzaminacyjna równocześnie. Zaważać egzamin czy stracić pastę? Nie mogę ani jednego, ani drugiego. Więc w przerwach między koszeniami — żona i matka grabia — dają nura pod krzak i wkuwam szczegółową uprawę roślin. Ale przynajmniej, że praca na roli nawet pomogła mi w studiach, bo stanowiła niejako warsztat praktycznych doświadczeń dla zdobywanej wiedzy. Muszę też dodać, że wiele zawdzięczam panu docentowi Bolesławowi Stykowi, który był mi bardzo dobrym i przychylnym przewodnikiem w studiach.

NA STARCIE



Wilhelm (pierwszy z prawej) i kpt. ż.w. A. Daszkowski



Bosman Bundziga i praczeki portugalskie

bombardowanie statku przez lotnictwo hitlerowskie: z 228 osób na pokładzie statku, znajdującego się w służbie Czerwonego Krzyża, zostało po nalocie przy życiu osób dwadzieścia kilka. Dostał się do niewoli; w tydzień po upadku Westerplatte porządkował je razem z innymi jeńcami. Przeżył obóz koncentracyjny Stutthof. W 1945 roku w Gdyni pełnił służbę na radzieckim holowniku „Pionier”. szybko wszakże wrócił na pełne morze; zamustrował na statek szwedzki, bo — mimo wszystko — po wojnie więcej mieliśmy marynarzy, aniżeli statków. Na „szwedzie” podczas lustracji baku wyrzuciła go fala morską za burtę, ale zaraz następną, odbojowa, wrzuciła go — poturbowanego — z powrotem na pokład.

Wspominam o tym, żebyście wiedzieli, że to prawdziwy marynarz, któremu nieobce są wszelkie morskie przygody, a także dlatego, abyście wiedzieli czemu mówi sam o sobie, że z niego taki drań, co go nawet Neptun nie chciał...

Tak więc o tym wszystkim dowiedziałem się od bosmana Bundzigi na pokładzie parowca „Narwik”, gdy płynęliśmy w ostatnią podróż statku — do stoczni złomowej w Bilbao. Bohaterski okręt, zasłużony w konwojach drugiej wojny światowej, kończył swój pracowity żywot.

Statek na żyłki — mówili marynarze — my na urlop.

— A potem? — pytałem.

Bundziga był zalamany. Już w poprzednim porcie prawie nie wychodził na ląd. Co tam port — wyjaśniał — byłem tu tyle razy, że wszystko znam na pamięć. Nie ma co lazić. I to mówił Bundziga, który przed chwilą zwierzał się, że zawsze brał życie pełną ręką, nigdy nie odmawiał kompanii, w każdym porcie miał nie tylko po prostu znajomych, ale i prawdziwych przyjaciół, weselących na gębach na jego widok.

— Co będę robił po powrocie do domu? — Bundziga wyglądał, jakby go wszystkie zęby boleły. — Je-

żeli dadzą wcześniej emeryturę — wezmę! Trzeba miejsca młodym ustąpić. Nie będę się trzymał statku rękami i nogami. Będzie mi trochę przykro, ale co robić? Czasami zajdę do portu...

— Bogdan (bo Bundziga ma na imię Bogdan i naprawdę nazywa się Wilhelm), na litość boską — co tobie? Przecież pięćdziesięcioletnich marynarzy jeszcze na emeryturę nie wysyłają. Statków jest coraz więcej. Prawda — przychodzą młodzi, ale potrzebne jest im twoje doświadczenie!

— Co mogę to im przekazać. Statki są coraz nowsze, a nam, starym, ciężko jest przestawiać się do tej nowoczesności. Człowiek wyrósł w tym łuku, ładowni... Trzeba ciężko pracować. A tam? Guzik człowiek naciśnie — kłapa się otwiera. Marynarz w przyszłości już nie będzie marynarzem. Wolę szplajnować, brezenty szyć — tak jak to kiedyś było. Marynarz — w głosie Bogdana była ironia i pogarda — za którego automat robi?!

Oto co go żarło: perspektywa statku motorowego.

— Tam hałas bracie. Nie wyciszysz sobie nawet we własnej kot ładownie samotrymujące. Załadunek w porcie — dwa dni, nawet pięćdziesięcioletnika. Wyładunek — kilkanaście godzin. Dają mnie na jakiś trzydziestodwusiecznik, zasypią węglem w Świnoujściu — i w drogę do Japonii. Pięćdziesiąt dni przez Pacyfik i Indyj, nawet ład z daleka nie powąchasz. Kilka godzin — przy jakimś rurociągu dla nabrania paliwa. W Japonii rozładują nas w dobie i — uio pod balastem do Australii. Stamtąd — z żelazem do Ameryki Południowej, załadowanie fosforu, rudy albo ziarna dla Polski i — dookoła świata — powrót do domu. Na kilka dni. I znów kilka miesięcy w morzu.

Stało się dokładnie tak, jak bosman Bundziga przewidywał. Okrutny Neptun, widocznie tylko dlatego mu kiedyś darował grzechy, aby tym surowiej go teraz do-

świadczyć. Co tam widy, trójzęby! Neptun — buchalter ma lepsze sposoby porachowania się z ludźmi. Bywa przecież że handlowy statek PZM podczas jednej podróży morskiej w ciągu sześciu miesięcy opływa ku'e ziemską, pokonuje 34 tysiące mil morskich, odwiedza wszystkie kontynenty, przemierza trzy oceany, czterokrotnie przekracza równik i dwukrotnie Krag Polarny.

Niedawno Bundziga telefonował z domu w Szczecinie, że przyjechał tylko na kilka dni. Nie widzieliśmy się dobre osiem miesięcy; przypuszczałem, że spotkam człowieka zdruzgotanego, czepiającego się kłami działu żałogowego, żeby go zdjąć z tej piekielnej, japońsko-australijsko-amerykańskiej trasy. Tymczasem wyglądał świetnie.

— Człowieku, czy wiesz jaka mam teraz kabinę? Na „Bogince” kapitan takiej nie miał! Co mówię — na „Bogince”? Na ładnym ze starych parowców. Luksus. Pływam na najbardziej udanym z całej serii 32-tysięczniku. Fachowcy ze stoczni Warskiego wiedzieli, co robią. To najszybszy, najcichszy i najszczęśliwszy statek w PZM. Po marnych portach nie musisz się szwendać. Rejsy długie, ale zarobić można. W domu za to na człowieka z utęsknieniem czekają. Da się żyć!

No i proszę! Stare statki, sentymenty... podstępne działanie Neptuna. Nawet bosmana Bundziga przekabacił, wcisnął mu w usta słowo „zarobić”. Do tej pory Bogdan zawsze z najwyższym szacunkiem mówił: „wydatkować”.

Aha, zapomniałem Wam powiedzieć, że nasz Bundziga popełnił — jak mówi — głupstwo: przestał być wdowcem. Jest znów żonaty. Czego to ten Neptun się nie chwytą, aby tylko ludzi złapać w swoje sidła? Gdy już inaczej nie może — podpowiada czenek! No i macie swego poczciwego staruszka z trójzębem!

Władysław Daniszewski

— No, a...
— Wiem. Nie mam zamiaru wsi opuszczać. Zostaję. Nie ulega wątpliwości, że wieś ma przed sobą przyszłość. Oczywiście, muszą zostać zastosowane pewne formy zespolonego gospodarowania, co jest konieczne dla oszczędzenia czasu i uproszczenia niektórych manipulacji. Na przykład rolnik, który jedzie do tartaku po deski sam załaduje tych desek 10 metrów, ale jak pojedzie we trzech załadują 50 metrów. Zysk widoczny i nie ma potrzeby się go wyrzekać. To z czasem wejdzie w psychikę polskiego rolnika.

— A ja słyszałem coś o owcach...

— Tak. W kwietniu założyłem zespół rolników indywidualnych i zostałem jego prezesem. To jest dobrowolne zrzeszenie zarejestrowane w urzędzie gminnym. Zespoły mają zagospodarowywać grunty z Państwowego Funduszu Ziemi, mają pierwszeństwo w nabywaniu materiałów budowlanych, kredyty zmniejszone oprocentowanie i sporo innych ulg. Więc korzystamy z przychylnej dla nas polityki państwa. Nasz zespół składa się z trzech rolników i nastawia się na hodowlę owiec. Budujemy wspólna owczarnię według nietypowego jeszcze, bo nie praktykowanego powszechnie projektu opracowanego przez Izbę Mechanizacji Budownictwa i Elektryfikacji Rolnictwa. Owczarnia będzie miała rozmiary 50x12 m i pomieszczi 300 matek, s więc całe stado będzie liczyło 700 sztuk. Zbyt mamy zapewnioną umowę z Przedsiębiorstwem Obrótu Zwierzętami: Hodowlanymi w Radzynie, które będzie od nas odbierało cały wyhodowany materiał. Na jego wykarmienie przeznaczamy 35 ha łąk które już posiadamy oraz 30 ha, które przejmujemy z PPZ. Wybudujemy 2 silosy przeładowe o rozmiarach 20x3 m. Bez kiszonek ani rusz.

Obecny przy tym Józef Panasiuk, uczestnik Rolniczego Technikum Telewizyjnego dorzucą:

— I bez wody. Żeby utrzymać inwentarz, rolnik — jeśli nie ma pompy — musi przemieścić dziennie prawie 1,5 tony wody. Więc trzeba budować pompy. Cóż, kiedy w kolejce po materiały stoi się od czwartej rano, bo zawsze bliżej sklepu są nierolnicy, przeważnie właściciele domków jednorodzinnych. Upięram się przy tym żeby rolnik w ogóle był zalatwany poza kolejką. Tu nie chodzi o jego prywatny czas. Jego czas liczy się w wartościach gospodarki ogólnospołecznej.

Jest trochę śmiechu, na co mnie nie wypada nie życzyć brudziom, by z ich inicjatywy powstał nowy przepis administracyjny.

— A nuż będziecie mieli to szczęście...

— Szczęścia to trochę mamy. W naszej wsi chłopcy wygrali trzy samochody.

Ściskam dłonie z gratulacjami, ale już i z pożegnaniem bo widzę, że rozmowa jest wielce pożądana, jednakże nie odsunie zajęć gospodarskich, które dają o sobie znać.

Droga powrotna przez znów, a właściwie jeszcze bardziej zmienne flukty pogody. Auto pośpiesznie odrzuca za siebie te różne łączki, laski, rzeczki. Akadzi nie ubyło.

Festiwal w Kraśniku i znaki zapytania

(Dokończenie ze str. 5)

biła też swoje pogłoska o transmisji telewizyjnej, nacelowana bardziej na znanych solistów, m. in. Nowaka i Zakrzęskiego, niż na zwycięzców Festiwalu Pieśni Walki i Pracy. Tymczasem znani uznani śpiewali stare szlagiery sprzed kilku lat, z wszelkimi dostępnymi im zagraniami pod publiczność. W niektórych punktach, mimo niskiego poziomu kraśnickich zmagani, lepsi jednak byli nagrodzeni amatorzy. Odszukali bowiem niejedną starą piosenkę partyzancką, lub z okresu walki o władzę ludową, niejedną odmłodzoną teraz śpiewkę o pracy. Rzadko powtarzali tak bezwstydnie wciąż te same kawałki. Ale publiczność kraśnicka przyjmowała „alówkę” bezkrytycznie. lekceważąc natomiast koncerty przesłuchawowe: nawet w słoneczne, sobotnie popołudnie i dość ciepły wieczór. Były powiat kraśnicki nie przedstawił w tym roku ani jednego solisty, żadnego zespołu. Czyżby przez te sześć lat nie pozostał żaden ślad w obu miastach i okolicy, nic tu nie zaowocowało? I to jest najsmutniejsze.

Krytycznemu widzowi i słuchaczowi można też nasunąć się pełne niepokoju wnioski, gdy chodzi o piosenkarski ruch amatorski w Polsce. Czy kraśnicy uczestnicy przyjechali sobie wyłącznie pomysłowość, pośpiewać, podyskutować na seminaryjnym spotkaniu oraz w koleżeńskich rozmowach? Jacy są poza festiwal, w szkołach z zakładach pracy, w miejscach zamieszkania? Czy przyjechali tu ze swoją prawdą, zachowali własną autentyczność? Któryś z dyskutantów powiedział: — Być prawdziwym, to znaczy być też krytycznym, posiadać umiejętność samooceny. Najgorzej z tymi, którzy dla spodziewanych sukcesów naśladowują uznanych, choć nie zawsze najlepszych solistów zawodowych. Już przestają być sobą, a jeszcze nie zaczęli być kimś. Najbardziej wypacza młodych impreza, która posiada wysokie wymagania treściowe i

ideowe, a tak pojętemu repertuarowi nie zapewnią odpowiednich eliminacji, z wyrażeniami kryteriami artystycznymi.

Czesław Kalkusiński, autor „Jędrusiowej doliny” i wielu innych popularnych piosenek partyzanckich, siedział na przesłuchaniach wyraźnie przygnębiony. W rozmowie ze mną powiedział: — Zał mi dawnej nazwy festiwalu, ale idea pozostaje piękna także przy poszerzeniu jej o temat pracy. W mieście, gdzie na honorowym miejscu stoi pomnik partyzanta, impreza taka nie ma prawa umrzeć. Spośród półtora tysiąca pieśni partyzanckich zebranych przez Szewcę społeczeństwo zna jeszcze niewiele. Ja sam napisałem ich kilkadziesiąt, niektóre lepsze od tych popularizowanych. Wielu autentyków nikt jeszcze nie odkrył i mogą one zginąć wraz z naturalnym odejściem pamiętających je starych już, byłych partyzantów.

Jeszcze przed kilku laty — a była to już doba powszechnie panującej nam telewizji — na wypełnionej widowni pałnowała refleksyjna zaduma. Teraz publiczność robi wrażenie znużonej, niezainteresowanej. — nie o temat tu chodzi, ale o poziom wykonania.

Ze względu na drugi człon nazwy, impreza kraśnicka może w przyszłości zyskać możność protektorat Lubelskiego Zakładnia Węglowego. Ale już obecnie jej znaczenie powinno pełniej doceniać główni współorganizatorzy: Ministerstwo Kultury i Sztuki, Centralna Rada Związków Zawodowych, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego ze swoimi agendami, Związek Kompozytorów Polskich oraz Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego. Ten ostatni przysłał do jury swego przedstawiciela oraz uświetnił imprezę występami zespołów zawodowych. Nie odczuwa się jednak nadal obecności solistów i zespołów wokalnych spośród żołnierzy — piosenkarki amatorów. Imprezie zagraża wyraźnie, organizowany w tym roku po raz pierwszy w Tarnowie przez CRZZ, przegląd zespołów i solistów, którzy mają w swoim repertuarze

pełni o pracy. Nowe województwo tarnowskie może nie zechcieć wypuścić ze swego terenu imprezy pod wysokim i hojnym protektoratem CRZZ — na rzecz miasta i gminy Kraśnik pod Lublinem. Impreza tarnowska nie najlepiej świadczy o koordynacji dwu współorganizatorów kraśnickiego festiwalu: MKiS oraz CRZZ, które powinny zauważyć zaakceptowane niedawno temat pracy w podlubelskiej imprezie Tarnów może stać się podzwonnym, niezależnie od braków kraśnickiego przedsięwzięcia.

Jeżeli moje obawy miałyby się sprawdzić, to niech współorganizatorzy Festiwalu Pieśni Walki i Pracy przynajmniej uczynią z Kraśnika miejsce ostatecznego kwalifikowania (po eliminacjach niższych szczebli) do imprez kolobrzesckiej, katowickiej i tarnowskiej, na wzór inowrocławskich przesłuchań wykonawców piosenki radzieckiej. Festiwal kraśnicki posiada bowiem elementy repertuarowe i ideowe wszystkich tych trzech imprez równocześnie.

Wolał: S.O.S. dla Kraśnika! Przejściowe porażki nie powinny uamiercać imprezy z dobrą tradycją.

ALEKSANDER JAŃSKI

Nagrody i wyróżnienia przyznało jury pod przewodnictwem kompozytora Zbigniewa Ciechana. I nagrodę w grupie solistów otrzymał Bogdan Wolak z Tomaszowa Mazowieckiego, II — Jolanta Gacka z Bytomia, III — (ex aequo) Grazyna Gadomska z Przasnysza i Jolanta Krysiak ze Zduńskiej Woli, a wyróżnienie — Andrzej Weiss z Warszawy. Spośród zespołów wokalnych I nagrodę otrzymał „Logarytm” z Dynowa, koło Brzozowa (równocześnie „Złoty Kord” tygodnika ilustrowanego „Żołnierz Polski” za młodzieżowy entuzjazm do tradycji orędowni polskiego), II — „Ad astra” z Bodzi, III nagrodę zespół „Ale” z Piaseczna pod Warszawą. Wyróżnienia w tej grupie uzyskały zespoły: „Tęcza” z Olsztyna, „Bis” z Jarosławia i „Sekret” z Leżajska. W kategorii zespołów instrumentalno-wokalnych nagród pierwszej i drugiej jury nie przyznało, natomiast równorzędne drugie nagrody otrzymały: „Renawa” z Kwidzyna (wraz z „Szczerbce” od redakcji „Za Wolność i Lud” za kontynuowanie w pieśni nurtu kombatancckiego) i „Namiar” z Warszawy.

26 maja zmarł w wieku 73 lat Antoni Michalak; pochowano artystę w Kazimierzu, w mieście, gdzie spędził ponad połowę swego życia.

Po raz ostatni widziałem się z malarzem 10 sierpnia 1974 roku w jego kazimierskiej pracowni, którą zbudował jeszcze między wojnami. Michalak był wówczas w formie, ani mi przez myśl nie przeszło, że rozmawiam o to z człowiekiem chorą ciężko i od dawna. On jednak wiedział dobrze, jak wygląda sprawa, ile pozostało mu jeszcze czasu. Świadomość tragicznej prawdy nie odebrała mu przecież życzliwości do ludzi, bodaj cztery godziny bez przerwy opowiadał o dawnym Kazimierzu, o ludziach, których znał, o sobie, o sztuce. Siadając na małej kanapie, w otoczeniu dzieł sztuki, płócien — niektóre z nich sięgały sufitu — rozwijał temat epiki na cześć świata, który odszedł w przeszłość. Aż w pewnym momencie wstał żwawo i powiedział: „Muszę zejść na dół, w muzeum chcą zrzucić fragmenty atyki, bo doszli, że Łopuszański dowolnie je rekonstruował przed wojną. A czy Łopuszański nie należy do Kazimierza, nie współtworzył jego historii?!“ Do końca przejmował się sprawami miasta, w miarę zanikających sił interesował się losem zabytków.

Był ulubionym uczniem Tadeusza Pruszkowskiego, może nawet bardziej umiłowany przez mistrza niż Feliks Topolski, także dopuszczony do przyjaźni profesorskiej. Z tej szkoły wyniósł szacunek dla dobrej roboty malarskiej, dla warsztatu, dla średniowiecznych artystów, którzy skupiali się w cechach rzemieślniczych. Wprawiał się do zawodu cierpliwie, z chlopską zaciętością. „Talentu wielkiego nie miałem, do wszystkiego doszedłem własną pracą, późno zresztą dojrzewając“. W 19—23 roku wyprawił się po raz pierwszy do Kazimierza, płynąc statkiem wiślanym trzy dni i trzy noce z Warszawy, bo woda była niska, mieliźnodajna: w ciemnościach daleko niósł się z dziobu głos marynarza, który stojąc na czujce krzyczał „Woda! Woda! Woda!“ Wtedy właśnie w rozmowie z Janem Gotardem, też uczniem Pruszkowskiego, tragicznym Żydem z Warszawy, Michalak naszkiceował program ideowy później powstałego „Bractwa św. Łukasza“. Główne hasło brzmiało po prostu tak: „Musimy nauczyć się dobrze malować kota, konia, psa!“ Mój Boże, ile w tym zdaniu pokory i ujmującej poczciwości, godnej Mazura — chłopca z duszą artysty. Dzisiaj coś takiego jest nie do pomyślenia, młodzi malarze dystansują się wzajem w pretensjonalnych bredniach, wygłaszanych pod patronatem, niezawinionym, semiologii, psychofoniki, iki, iki, iki...

A nazwali się „Bractwem św. Łukasza“ z powodów całkiem prozaicznych, a zarazem zgodnych z ich mentalnością twórczą. Ten święty patronował niegdyś średniowiecznym malarzom cechowym, był opiekunem fachmanów od obrazowej roboty. Jeszcze jednak przed formalnym powstaniem grupy nauczyli się klasę laserunki, subtelne kondensatory światła w obrazach. Właściwie odnowili tę

MICHALAK



! pracowni profesora Michalaka. Kazimierz
Fot. M. Spóz

zarzuconą od dawna technikę, wymagającą pewnej ręki i cierpliwiej duszy.

Sztukę traktowali jak zawód. Podczas plenerów w Kazimierzu mieszkali w budynku dzisiejszego domu kultury, podlegając żelaznej dyscyplinie. Wstawali o godzinie 4.30, gdzieś o 5 w sali panował już porządek; studenci sterczeli w różnych punktach miasta szkiełując poranny pejzaż. Śniadanie jedli o 7.45, o godzinie 8 rozpoczynali studium. Balowano tylko w soboty. Michalak, który był „katem“, czyli gospodarzem pracowni Pruszkowskiego, wyznał po latach: „Trzymałem bractwo krótko za mordę“. Ciężkie to było terminowanie.

Chłopski syn, pasał w dzieciństwie 16 krów. W Paryżu w 1926 roku, dokąd wyjechał podkaszaląc się, tygodniami kopiował Ribere. Po powrocie znowu osiadł w 1927 roku w Kazimierzu, gdzie namalował pierwsze ważniejsze w jego biografii obrazy. Przyniosły mu rozgłos. Zajmował się także freskiem, malował w wielkich katedrach i w warszawskim sklepie Wedla. Zajmował się konserwacją i pracą pedagogiczną, przed wojną we Lwowie, po wojnie w Lublinie, wykładając rysunek. Wykształcił znanych... rzeźbiarzy — Łodziana, Konieczny i Smolana to uczniowie Michalaka.

Historia nie szczędziła mu wrażeń. Rewolucję Październikową przetrwał w Odessie, gdzie poznał Babla i Pasternaka. Podczas okupacji Niemcy wyrzucili go z własnego domu w Kazimierzu. Po wojnie przeżył dramat artysty, który nie usiłuje czepiać się rozwoju wydarzeń. Malował tak, jak przed wojną: realistycznie, z pewną skłonnością do mocniejszego wyrazu. Tworzył świetne portrety: w czterech ramach rekonstruował cały świat człowieka. Malował też słabiej, jakby emfaticznie. W dwudziestolecie wystawiał w europejskich i amerykańskich stolicach sztuki, po 1944 roku bardzo rzadko eksponuje prace. Mistrz z natury, dużo pracuje dla kościołów. Nie akceptuje zjawisk, które pojawiły się w Polsce artystycznej zaraz po wojnie i po 1955 roku. Rozumie je, ale odrzuca. „Brak w sztuce dzisiejszej sentymentu i dyscypliny“. Nie przepada też za pionierami sztuki nowoczesnej we Francji, stać go na zdecydowaną krytykę van Gogha. „To nie malarz, to urzędnik, nie ma u niego obrazów nie skończonych. Układał sobie farby na palecie i przynosił je po kolei na płótno“. Zgadzał się pod tym względem z Szukalskim, który zresztą kaperował członków „Bractwa“ do swego „Szczepu Rogate Serce“, oczywiście bezskutecznie.

„Straciłem poczucie czasu. Z wiekiem nie przeżywa intensywnie ani wiosny, ani lata, ani zimy. Mam poczucie wieczności“, powiedział w pewnym momencie, spoglądając na portret pani Kleńskiej malowany w 1940 roku w jej kluczkowej posiadłości. To był bardzo piękny i mądry portret.

IJK

GŁOWA PAŃSTWA W KONSTYTUCJACH EUROPEJSKICH PAŃSTW SOCJALISTYCZNYCH

Kazimierz Gieroń

W RAZ z powstaniem marksizmu rozpoczęły się poszukiwania formy państwa, które by mogło zrealizować idee socjalistyczne po zwycięskiej rewolucji proletariatu. Koncepcję państwa dyktatury proletariatu w postaci systemu rad zawdzięczamy W. Leninowi. Oparła na doświadczeniach rewolucyjnych zrywów robotniczych, zwłaszcza zaś na naukach wypływających z Komuny Paryskiej i rewolucji 1905 roku oraz głębokich rozważaniach teoretycznych zapewniała realizację idei ludowładztwa; stanowiła ona jednocześnie zaprzeczenie dotychczasowych form państwa burżuazyjnego.

Z koncepcją rad wiąże się rozwiązanie instytucji głowy państwa w ustroju socjalistycznym. System organów państwa socjalistycznego budowany jest zgodnie z zasadą jednolitości władzy, co oznacza, że wszystkie one podporządkowane są najwyższemu organowi przedstawicielskiemu w postaci parlamentu, wybieranego przez cały naród. W związku z tym głowa państwa socjalistycznego jest także w pełni podporządkowana temu ostatniemu i przezeń wybierana. Zachodzi tu istotna różnica w porównaniu do rozwiązania tych zagadnień

w ustroju burżuazyjnym. Spotykamy w nim bowiem głowę państwa w postaci prezydenta lub monarchy nieodpowiedzialnego przed parlamentem lub będącego szefem władzy wykonawczej, wybranego przez cały naród i zajmującego niezależną pozycję w stosunku do parlamentu jak to ma miejsce w ustroju prezydenckim.

Tak więc reasumując stwierdzić można, że istotną cechą głowy państwa socjalistycznego jest wybór jej przez parlament i pełna przed nim odpowiedzialność za całą działalność.

Po zwycięskiej rewolucji w 1917 r. w Rosji funkcję głowy państwa powierzono Ogólnorosyjskiemu Centralnemu Komitetowi Wykonawczemu, który był powoływany i odpowiadał za całą swą działalność przed Ogólnorosyjskim Zjazdem Rad. Był to organ bardzo liczny i w okresie między Zjazdami Rad sprawował pełnię władzy w państwie. W miarę jednak doskonalenia struktury aparatu państwowego następuje w rozwoju instytucji głowy państwa znaczna ewolucja. Mianowicie powierzona ona zostaje coraz mniej licznemu organowi. W 1919 r. zgodnie z uchwałami VII Zjazdu Rad przekazana zostaje Prezydium Ogólnorosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego, a po powstaniu ZSRR w 1922 r. — Prezydium Centralnego Komitetu Wykonawczego fe-

deracji radzieckiej. Stan ten utrzymuje konstytucja ZSRR z 1924 r. Zgodnie z konstytucją z 1936 r. funkcję „kolegialnego“ prezydenta otrzymało i sprawuje ją do dziś Prezydium Rady Najwyższej ZSRR.

Po zakończeniu II wojny światowej w Europie powstały państwa demokracji ludowej. Przystąpiły one do przeprowadzenia poważnych reform polityczno-społecznych i budowy nowego, odpowiadającego założeniom demokracji ludowej aparatu państwowego. W tym okresie wystąpiły bardzo duże różnice w rozwiązaniu problemu głowy państwa. W Rumunii i Bułgarii zachowały się nadal monarchie, w Czechosłowacji i Polsce powołano prezydentów, natomiast w Albanii, Jugosławii i na Węgrzech funkcję tę powierzono organom kolegialnym powołanym przez parlamenty.

Po okresie tymczasowych rozwiązań w dziedzinie budowy organów państwowych inaczej sprawy te uregulowano w konstytucjach przyjętych w II połowie lat czterdziestych.

Wokół problemu głowy państwa rozpoczęła się dyskusja. W grę wchodziły bowiem dwa rozwiązania. Jedno z nich kształtowane pod wpływem konstytucji ZSRR z 1936 r. proponowało powierzenie funkcji głowy państwa organowi kolegialnemu, natomiast drugie, nawiązując do tradycji parlamentarnych niektórych krajów, uznawało za właściwe zachowanie instytucji prezydenta.

Pierwsze rozwiązanie przyjęły nowe uchwalone konstytucje Albanii, Bułgarii, Jugosławii i Rumunii, drugie — Czechosłowacji, Polski i Węgier. Organy kolegialne, którym powierzono funkcję głowy państwa, zastępowały jednocześnie parlament w okresie między jego sesjami.

W miarę jednak postępów w budowie socjalizmu przeważyć zaczęła tendencja o wyższości kolegialnej formy głowy państwa. Wzięto się to ze znanym stanowiskiem J. Stalina, który podczas dyskusji nad projektem konstytucji z 1936 r. sformułował taki właśnie pogląd. Stąd też w konstytu-

cjach przyjmowanych w końcu lat 40-tych i 50-tych w miejsce prezydenta wprowadzono organy kolegialne. Miało to miejsce na Węgrzech i w Polsce. W pierwszym przypadku konstytucja z 1949 r. wprowadziła w miejsce prezydenta organ kolegialny w postaci Prezydium Zgromadzenia WRL, w drugim zaś — Radę Państwa PRL.

Jednocześnie jednak w połowie lat 50-tych obserwujemy zjawisko powrotu do instytucji prezydenta. Odtąd Jugosławia, która przez cały okres po wyzwoleniu posiadała kolegialną głowę państwa, w konstytucji z 1953 r. wprowadziła urząd prezydenta.

Warto także odnotować, że konstytucja powstała w 1949 r. NRD, mając na uwadze zjednoczenie Niemiec i nawiązując do tradycji konstytucji weimarskiej, również powołała prezydenta. Został nim wybitny działacz antyfaszystowski W. Pieck.

Jednakże prezydent w Jugosławii, jak i w NRD jest już w pełni instytucją prawa socjalistycznego. Wyraża się to w jego pełnej podległości parlamentowi — zarówno poprzez fakt wyboru i możliwości odwołania jak i odpowiedzialności za całą swą działalność.

Kolejny etap związany z nowymi rozwiązaniami w instytucji głowy państwa przyniosła konstytucja lat 60-tych i początku 70-tych. Uchwalone one zostały jako wyraz zbudowania podstaw socjalizmu i przechodzenia państw socjalistycznych do budowy rozwiniętego socjalizmu. Odzwierciedlały one także wzrastającą rangę kierowniczej roli partii w społeczeństwie tych krajów.

W dwóch państwach, a mianowicie w NRD i Jugosławii wprowadzono w miejsce prezydenta kolegialną głowę państwa. W pierwszym przypadku nową w 12.IX.1960 r. do konstytucji z 1949 r. ustanowiono Radę Państwa, w drugim zaś konstytucja z 22.II.1974 r. zniósła urząd prezydenta przekazu-

(Dokończenie na str. 12)

BRAMA zamknięta była na jakiegoś skomplikowanego zasuwy. Z boku odnalazłem kolatkę. Uderzyłem kilka razy. Odezwały się kilka minut i znowu zastukałem. Głośny klekot suchej drewna rozlegał się na jakimś rozległym dziedzińcu za bramą. Znowu minął kwadrans i już chciałem zastukać po raz trzeci, gdy usłyszałem czyjeś kroki. Ktoś szedł w drewniakach, powłóczył nogami. Rozległ się stukot drewnianego mechanizmu skomplikowanej zasuwy. W furcie ukazała się kobieta w długiej, czarnej sukni.

Podążyłem za nią ślejką wybrukowaną wielkimi głazami, między którymi rosło bujne zielsko, wysadzoną dzikim brem. Po jednej stronie był obszerny dziedzińec otoczony niskimi, pobielanymi zabudowaniami, po drugiej zapuszczony ogród. Słońce paliło niemilosłernie.

— Daj mi wody — powiedziałem.
Kobieta przystanąła. Spojrzała na mnie uważnie. Miała czarne, bardzo spokojne oczy. Nie była już młoda, ale te oczy ciągle jeszcze były piękne. Skręciła w przetrwę między krzakami bżów i poszliśmy do studni na środku podwórza. Czekaliśmy aż wyciągnie wiadro. Próbowałem ją wyreczyć, ale nie pozwalała mi zastawiając sobą dostęp do korby. Studnia była bardzo głęboka. Słońce paliło

I przybrała tajemniczy wyraz twarzy, pochyliła się, ujęła żelazne kółko umocowane u podłogi i uniosła wielką kłapę. Zobaczyłem strome schody prowadzące w głąb.

— Piwnica? — spytałem.
— Niezupełnie.
Skłoniłem rękę zachęcała mnie, bym zajął głębiej. Wychyliłem się. Ciągle tylko kamienne, mocno zdeplane schody. Z uśmiechem zapraszała, bym tam wszedł. Nie podejrzewałem w tym żadnego podstępku. Zszedłem kilka stopni. Ciągle tylko schody. I wtedy wieko z całej siły uderzyło mnie w głowę.

Jakiś czas leżałem oszołomiony. Gdy się ocknałem próbowałem unieść pokrywę. Ani drgnęła. Walłem pięściami. Wreszcie zrezygnowałem.

Pozostała mi tylko jedna droga, w głąb. Po omacku schodziłem po oślizłych stopniach. Po pewnym czasie z głębi tego szybu zaczęły mnie dochodzić jakieś odległe szmery. Starłem się iść jak najszybciej. Odgłosy stawały się wyraźniejsze.

Wreszcie znalazłem się w kamiennym, wąskim i niskim korytarzu. Pochylony, ciągle po omacku szedłem w kierunku tych odgłosów. Słyszałem szmer rozmów, pobrzękiwania naczyń, w pewnej chwili męski, nerwowy śmiech. Prawie biegałem. Ciemności odrobinę się rozrzedziły. Pomyślałem, że pewnie za tymi licznymi zakrętami jest światło.

— No, czego ścieczyasz? — zwrócił się wreszcie do mnie jeden z nich.

— To jest twoje miejsce — odezwał się inny wskazując kawalek ławki obok siebie.

— Jak to, moje miejsce?
— Po prostu. Jak idąłeś zauważyć, nie jesteś pierwszy. My też zakochaliśmy się od pierwszego wejścia.

— To jakiego nieporozumienia! — krzyknąłem. — Mnie się po prostu chciało pić. Zastukałem do bramy...

— So wassem durak! — przerwał mi wielki, kościsty starzec w mundurze carskiego oficera. To i my stukali do bramy. Wszyscy jak nas widzisz, a i ci, których, bratku, nie widzisz, co są tam — i wskazał głębiej sali tonącą w mroku — też w nieświadomości zastukali w bramę.

— Ale ja i później... — starałem się wyjaśnić nieporozumienie, ale mój szanś, wyglądający na księgowego, przerwał mi kładąc rękę na moim ramieniu.

— Mój chłopcze, nie stawiaj się i nie próbuj nas okłamywać. Będziemy tu ze sobą kilka lat. Co najmniej kilkadziesiąt lat! A poza tym kłamstwa, mój chłopcze, nie przystoją ludziom, którzy przeżyli coś tak wzniosłego. No, a teraz opowiadaj!

O czym miałem im opowiadać? Jednakże coś trzeba było mówić. Miałem z nimi spędzić co najmniej kilka

OD PIERWSZEGO WEJRZENIA

Kazimierz Rosiński

mnie w tył głowy. Nie dochodził tu najmniejszy nawet powiew wiatru. Zniecierpliwilem się, ująłem ją za ramię, chciałem odsunąć i samemu kręcić korbą. Wtedy odepchnęła mnie z całej siły. Zatoczyłem się. Z trudem odzyskałem równowagę. Przy tym nagłym wysiłku cały zalałem się potem.

Nie było innej rady, trzeba było czekać. Rozglądałem się po dziedzińcu. Zabudowania otaczające plac miały głębokie podcienia. Tam, w tych wnękach między grubymi murami musiał panować rzęski chłód. Dobrze by było usiąść tam i odczekać skwar południa.

Na bezchmurnym, wypalonym jak piec hutniczy niebie kolował płowy jastrząb. W oka mgnieniu zaczął się powiększać i jak pocisk wpadł do ogrodu między zarośla. Natychmiast doszedł stamtąd krzyk przerażonych kur i pisk kurcząt. Po chwili wszystko ucichło. Skrzybiał tylko monotonicznie wał u studni.

— Jastrząb — powiedziałem. — Jastrząb porwał kurczę.

Nie odpowiedziała.
Wreszcie wyciągnęła drewniane, porośnięte mchem wiadro. Przechyliłem je, pitem łapczywie zalewając się wodą. W reszcie wody umyłem twarz. Wówczas zauważyłem, że ona przez cały czas przyglądała mi się z chłodną uwagą.

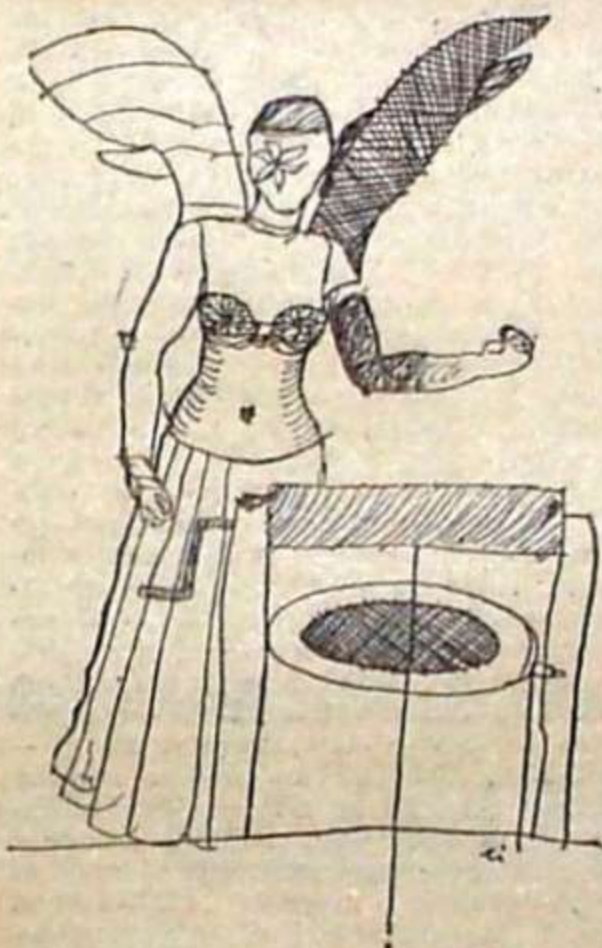
— Umierałem z pragnienia — starałem się wytłumaczyć moje dziwne zachowanie. — Dostawnie!

Wydeło mi się, że przez jej twarz przemknął leciutki uśmiešek. Ale nie zdążyłem się przyjrzeć jej twarzy, bo odwróciła się i ruszyła w stronę domu z gankiem głośno tłukąc chodakami o bruk.

Wahałem się chwilę, wreszcie zdecydowałem się iść za nią. Wnętrze domu stanowiła jedna, supełnie pusta izba. Ani stołu, ani krzesła. Kobieta bez pośpiechu zamknęła drzwi. Stała naprzeciw mnie. Uśmiechała się tajemniczo. Wydała mi się młodszą niż poprzednio sądziłem. Pomyślałem nawet, że kto wie, czy nie jest piękna. Gdyby nie ta workowata suknia i nie te saboty...

— Chciałabym ci pokazać wiele ciekawych rzeczy — powiedziała i w jej dzwicznym głosie wyczułem zalotną nutkę.

— Dziwny ten dom.
— Dziwny? Dlatego, że pusty? O, jakże się mylił!



Rys. E. Ingot

Na końcu korytarza ujrzałem obszerne, niskie pomieszczenie, nawet nie potrafiłem określić, jak wielkie, gdyż znaczna jego część tonęła w mroku. Na środku długi, ginący w ciemnościach stół zastawiony naczyńkami, kawiarkami i innymi najróżniejszymi przedmiotami. Na dwóch ciagnących się wzdłuż stołu ławach siedzieli dziwni panowie w najróżniejszym wieku, w strojach z różnych epok.

Na mój widok najbliżsi siedzący poderwali się z miejsc.

— Idzie! Idzie! — powtarzano coraz dalej.

Lecz gdy się zbliżyłem, za tą falą podniecenia popłynęła fala rozczarowania.

— To nie ona. To nie ona — powtarzano sobie.

Byli zawiedzeni. Odwrócili się ode mnie, jakbym to ja zawinił. Zajęli się swoimi sprawami. Jedni podjęli przerwane rozmowy, inni grali w karty, jeszcze inni jedli i pili. Gdzieś z półmroku dochodził cichy śpiew.

lat... Do diabła! Co to znaczy? W tej zatachłej norze kilka lat? To bezprawie! Zacząłem wykrzykiwać skargi i przekleństwa. Gdy się zmęczyłem i zamilkłem, zobaczyłem, że oni uśmiechają się do mnie zyczliwie i kiwają głowami.

— My też — powiedział jakby na pocieszenie carski oficer — rzucali się, szamotali, skargi miotali. W głowie nie mieścił się, że ona taka przewrotna. No cóż poczniesz? A powiedz bratku, jak ona ciebie zwodziła?

— Nie zwodziła mnie, stryżku. Pięć mi dała. Jakby głucha była. Jastrząb kurczaka z krzaków porwał, kury halasu narobiły, a ona nawet tego nie zauważyła.

— Piękna to przenośnia — pochwalili mnie chudy, blade młodzieniec. — Ten nagły atak jastrzębia na ukryte w zaroślach ptaki. Zrozumiałem, zrozumiałem...

— Cóż ty durniu wygadujesz! — zirytowałem się. — Baba uśmiechała się do mnie fałszywie. Zaprosiła mnie do domu. Pomyślałem, żeby odczekać południowy skwar. Bezcelnie! Patrzyła mi w oczy i nawet powieka jej nie drgnęła.

— A oczy? Jakże miała oczy? — pytał księgowy.

— Czarne...

I tak rozmawialiśmy przez całe dni, całe tygodnie... Po pewnym czasie o niczym innym nie potrafiłem mówić, ani myśleć, tylko o jej oczach, o dźwięku jej głosu, o tej upalnej godzinie najgorętszego dnia w moim życiu. Nawet gdy zamknąłem oczy, widziałem tę kobietę w czerni na olbrzymim, zalanym światłem dziedzińcu.

Z wolna przywykłem do ciemności. W głębi sali widziałem coraz więcej mężczyzn śpiących na rękach opartych o stół. Byli tam panowie w wysokich perukach, a dalej w strojach jak z Rembrandta.

Pewnego dnia zasnął carski oficer. Z początku zachowywaliśmy się ciszej, by go nie budzić. Później nie zwracaliśmy na niego uwagi. Nikt jednak nie śmiał go dotknąć. I nikt z nas nie wypowiedział żadnych podejrzeń. Tylko chudy młodzieniec powiedział raz mimochodem:

— Zasnął nasz poczciwy generał-major.

Tak mijaly niesiające, a może nawet lata. Wreszcie z korytarza wyłonił się następny...

DEBIUTY

Anna Borkowska

TRANSAKCJA

nie ocalę się
między pustką
historycznego śmiechu a
pustką czegoś-tam
komuś-tam
gdzieś-tam
coś słaba jestem
ale to ty
przykułeś mnie okrągłą dziesiątką
dobrotliwości palców
do zapachu konwalii
musiałam
zapłacić w naturze zatrutym
oddechem od braku
powietrza
opelzałam cieniem
odchodziłeś
drząc purpurą wstydu
a najdonioślejsz
plonęły muszle uszu
czy słyhać w nich szum morza
wracałeś odchodziłeś wracałeś
brałeś w usta popiół
osypujący się zwykłym torem
ludzkiej żądzy posiadania
a mnie było już wszystko
jedno kto
gdzie
i jak
komu gdzie i jak
przecież za ileś lat
mogłabym żałować
takiej okazji na
samozaprzecanie
samozapalenie
samospopalenie

Agata Luberadzka

Wiersze moje —
jak bękarty
przez nikogo nie kochane.
Wiem,
że jesteście głupie i naiwne jak ja.
Musicie być takie
— podobne jak potomstwo
do matki —
wszak to ja was zrodziłam.
Wiersze moje...
Każdy z was nieociosany,
kamiennie-twardy.
Wy —
powstałe w chwilach wzruszeń
zawieracie częśćkę mnie,
częśćkę chwili w której trwałam.
Gdy tworzę was
co warić są przy mnie
wielecy poeci?

Wiersze moje —
kocham was jak matka
swoje niesłubne
ale chciane dzieci.

Najgorsze są zawsze te myśli
które przychodzą same,
nieproszone.
Zajmują najlepsze miejsca
przy stole mojej wyobraźni
i rozpoczynają ucztę;
wyjadają kąski moich marzeń
odzierają z nich szaty.
Są silniejsze ode mnie
i nie mają granic,
przejdą przez ucho igielne,
wciągną się dziurką od klucza.
Są szybsze niż ja.
Patrzą.
Nie próbuję walczyć.
Nie uciekam.
Wiem,
że na walkę sił mi nie starczy
i nie można przed nimi uciec.

ZMIĘSCA i z całym przekonaniem chcę stwierdzić, że wydana ostatnio w Lublinie książka Z. J. Hirsza „Miejsca walk i męczeństwa w pow. lubelskim” to książka niepomniernie potrzebna. Praca ta jest przewodnikiem po miejscach pamięci narodowej zapisanych wydarzeniami z lat wojny i okupacji. Zebrany w niej materiał historyczny znacznie poszerza krąg widzenia tych wydarzeń. Trud autorski zamknięty w książce wyraża się liczbą 133 haseł odnoszących się do tytułu miejscowości i kilkuset okupacyjnych wydarzeń, jakie zaszły na obszarze dawniejszych trzech powiatów: bełzyckiego, bychawskiego i lubelskiego. Warto podkreślić, że inicjatorem wydawnictwa i jego nakładcą jest b. Oddział Powiatowy ZBoWiD w Lublinie.

Po pierwszych pozytywnych refleksjach przy lekturze książki nasuwają się jednak coraz liczniejsze zastrzeżenia, które najpierw denerwują, potem zaczynają budzić pewne zwątpienie w efekty osiągnięte przez autora, nakładcę i wydawcę. Ze względu na kolosalną liczbę momentów budzących wątpliwości trzeba poprzestać na charakterystyce usterek.

Mimo swej niewątpliwie docieklivosti Z. Hirsza traktuje zebrany materiał z dziwną niefrasobliwością, wskutek czego w jego książce spotyka się istny zalew błędów rzeczowych i merytorycznych. Już na wstępie czytelnik zostaje postawiony przed dylematem: o jakie to „historyczne granice powiatu lubelskiego” chodzi? Np. 100 lat temu w obręb powiatu wchodził cały obecny powiat lubartowski. Prawie tak samo wyglądały jego granice w nomenklaturze administracji okupanta hitlerowskiego. Po wojnie (do czasu ostatniej reformy) zaszły pewne różnice w przebiegu granicy między powiatami lubelskim i lubartowskim, zaś całe zamieszanie powstało na zachodnich granicach dawnego powiatu bełzyckiego i południowo-wschodnich granicach dawnego powiatu bychawskiego. Ale autor nie wyjaśnił, o jakie to „historyczne” granice powiatu mu chodzi.

Tak samo nie wiadomo, dlaczego szefa policji i SS w dystrykcie lubelskim Brigadeführera Globocnika awansuje na „Grupenführera i przedziwny woluntaryzm przedstawia nazywając Ordnungspolizei „formacją bardziej czynną” od Sicherheitspolizei?

Zupełnie nie wiadomo o co autorowi chodzi, kiedy pisze, że „W odwet za akcje partyzanckie, przeprowadzane nawet na

terenie innych powiatów, terroryzowane wsie pow. lubelskiego, gdzie by zlokalizowane miejsca zagłady, rwiż... z obozem na Majdanku (Kreplec) oraz miejsca masowych egzekucji więźniów „Aż ku Lubelskiego (Konopnica, Bełzyce, C. w. ów, Heleń, Jabłonna, Krężnica Jara i Rury Jezukie)”. (str. 22). W żaden sposób nie można pojąć podatak autorzkiego rachunku na str. 46, gdzie Hirsza podaje: „Łościewie siły oddziałów partyzanckich wyrażają się charakterystycznym stosunkiem — AK — 3,3; BCH — 1,5; AL — 1. Natomiast ich udział w akcjach w pow. lubelskim przedstawia się następująco: BCH — 29 akcji, AL — 15 i AK — 13. Pozostała (7), dwukrotnie większa, część akcji przeprowadzonych przez AK jest wynikiem samodzielnego działania plutonów lub mniejszych grup (7), kierujących się patriotycznym aspektem walki z okupantem...”. Poza postawionymi wyżej znakami zapytania nie nie wiadomo

nymi meldunkami dziennymi lubelskiej Ortkommandantury. Ronit to jednak z właściwą sobie niekonsekwencją. Materiały te nie pozostawiają na przykład wątpliwości, że atak na hitlerowską załogę w Wojciechowie nastąpił w nocy z 30/31, a nie 29 sierpnia 1943 r. oraz że nie było tam „posterunku zandarmerii”, ale „Erntefassungskommando” w składzie 2 zandarmerów z posterunku z Niedzwicy i 8 Ukraińców z 203 — E — Batalionu stacjonującego w Wólce Profekkiej. Nie może więc polegać na prawdziwe twierdzenie, że „w czasie walki zginęło 13 Niemców, i został ranny”. Faktycznie zginęło 2 zandarmerów i 8 nacjonalistów ukraińskich, zaś dwaj pozostali odnieśli rany.

Podobnie przedstawia się sprawa Informacji o starciu oddziału „Sosny” w Ostrówku w dniu 28 marca 1944 r. Meldunek niemiecki wyjaśnia dokładnie, że do Ostrówka przyjechało samochodem z Cycowa 11

Tego rodzaju błędów, nieścisłości i dowolności w książce Hirsza jest tak wiele, że ogromnie pomniejsza to jej wartość. Co więcej, jej słabość merytoryczną i rzeczową pogłębia słabość formalna — logiczna, stylistyczna i językowa. U autora dobrego opracowania „Lubelskiej prasy konspiracyjnej” usterek te po prostu zaskakują. O ich znaczeniu przekonajmy się znów na przykładach.

Np. w haśle „Albertów” czytamy: „Główna rozstrzelano salwą z 6 karabinów, natomiast dwu pozostałych zakładników zwolniono”. W haśle „Babin” aż dwa podobne kwiatki rozkwitły na gruncie pisarskiej nieporadności: „W czasie aresztowania został wywieziony na Zamek w Lublinie Władysław Paździor z kolonii Babin. Jak wynika z obwieszczeń z 3 czerwca 1944 r., które ukazały się na murach Lublina, Paździor z grupą innych więźniów został skazany na śmierć...”. Na próżno w tej gębie dzieciej szukać rzeczowej informacji, że Paździor naprawdę zginął!

Zaś nieco niżej: „W maju 1942 r. Oddział Specjalny BCH pod dowództwem Aleksandra Gacy, ps. Jastrząb, zlikwidował w Babinie agentów niemieckich, zbierających wiadomości na temat miejscowego ośrodka partyzanckiego, który z tego powodu ponosił dotkliwe straty...”.

Z rozbijającą naiwnością Hirsza informuje w haśle „Ciechanki”: „W niespełna rok później, nocą 12 lipca 1943 r. Władysław Murgala niósł drzewo. Zauważyła go grupa Niemców, patrolująca okolicę i oddała do niego kilka strzałów...”. I nawet ani słowa, że Murgala zginął!

W informacjach książki co krok brakuje logicznego związku między sąsiadującymi ze sobą zdaniem!

Nieudolność autora w niczym nie pomógł redaktor książki, a kto wie, czy jej nawet nie pogłębił, gdyż sporo tych usterek brzmi obca Hirszowi stylistyka.

Mimo tych krytycznych uwag jeszcze raz podkreślam, że publikacja Z. Hirsza niewątpliwie jest pozytywna, nawet wbrew jej słabościom. Myślę, że warto, aby inicjatywę ZBoWiD w Lublinie naśladowano w innych województwach.

Leszek Siemion

*) Zbigniew Jerzy Hirsza, Miejsca walk i męczeństwa w powiecie lubelskim 1939—1944. Wydawnictwo Lubelskie 1974. Cena zł 28.

Potrzebna, ale...

także na czym Hirsza opiera swe obliczenia, ani jakiego okresu one dotyczą. O jakich zresztą akcjach partyzanckich tu mowa, skoro na następnym stronie można przeczytać, że „Ze źródeł niemieckich wynika, iż w lutym 1943 r. przeprowadzono w starostwie lubelskim 70 akcji partyzanckich, a w końcu maja 1943 r. 370, uwzględniając w tym prawdopodobnie masowy sabotaż(?)...”. Tamże przytoczono liczby zaatakowanych urzędów i placówek gospodarczych, ale z liczb tych wynika — że autor traktuje obszar pow. lubelskiego za identyczny z ustalonym przez okupanta, czemu znów zaprzecza cała książka.

I tak dalej i tym podobne błędy, nieścisłości i dowolności, prawie na każdej stronie i niekiedy po kilka.

Jak wynika z treści książki, jej autor posługiwał się w jej przygotowaniu także materiałami niemieckimi, w tym nieocenio-

zołnierz, a nie „30-osobowa grupa zandarmerów”. Nie było tam również „poległych Niemców”, ani rozstrzelanych, a tylko 3 rannych. Nic nie powiedziano również o przybyciu do Ostrówka oddziału SS z Łęcznej, którego dziełem było zakończenie całej akcji.

Tego rodzaju rozbieżności, z niewątpliwymi ustaleniami niemieckimi, zdarzają się Hirszowi niejednokrotnie. Zupełnie podobną dowolność przejawia on wobec źródeł i ustaleń rodzimych. Np. pisząc o akcjach pod Zastawiem i błędnie nazywając akcję pod Piotrkowem drugim (właściwie pod Piotrkowem), posługuje się fantazjami, które doprowadziły informację książki do stanu kompletnego zamętu. Czy autorowi chodziło o oryginalność poglądu, chociaż dysponował choćby moimi opracowaniami? Nie w tego rodzaju publikacji miejsce na zasadę oryginalności.

CNOTY I GRZECHY W OBRAZKACH

(Dokończenie ze str. 6)

wydało mi się odszukanie ich na terenie Polski i skromne uzupełnienie badań zespołu własnymi spostrzeżeniami. Tematyka alegorii cnót i grzechów zawarta została w płaskorzeźbach ponorbartańskie-go kościoła pod wezwaniem św. Trójcy i Panny Marii w Strzelnie oraz w katedrze gnieźnieńskiej.

Strzelnieńskie alegorie cnót i grzechów pokrywają trzony dwóch kolumn wschodnich usytuowanych po południowej i północnej stronie nawy głównej. Na każdej z kolumn umieszczono w trzech równych strefach, zamkniętych ramami arkad, osiemnaście rzeźb figuralnych. Na tronie kolumny południowej przedstawiono postacie o dobrze znanych z ikonografii chrześcijańskiej gestach, z głowami uwiecznionymi nimbem. Alegorie grzechów, zgodnie z ogólną zasadą spotykaną w symbolice budowli kościelnych, znalazły się na kolumnie północnej, bo ta strona łączyła się z działaniem sił zła. Cykl strzelnieński pochodzi z połowy XII wieku (o sto lat wcześniej od cyklu w katedry Notre Dame w Paryżu) uległ niewielkim zniszczeniom, tak, że większość alegorii jest czytelna, bez trudu można też spostrzec, iż każdej personifikacji cnoty na kolumnie południowej odpowiada obraz jej antytezy na kolumnie północnej.

Na kolumnie południowej, związanej z wyobrażeniem sił dobrych, znajduje się personifikacja Sprawiedliwości z wagą w dłoni; Roztropność dzierżąca książkę; Wstrzemięźliwość z szeroko rozwartymi ramionami; Cierpliwość bez atrybutów, lecz z charakterystycznym napominającym gestem prawej ręki. Spotykamy tu także królową cnót — Pokorę, wyobrażoną przez postać ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma; Radość chrześcijańską zbliżającą się do ręki Bożej — manus Dei; personifikację Wiary dzierżącą krzyż; Czystość z berłem zakończonym kwiatem lilii. Relief kolumny wyobraża chrzest Chrystusa i nie jest to połączenie przypadkowe, często podkreślano zbawienne skutki tego sakramentu, będącego w myśl nauki Kościoła źródłem

wszelkich cnót; sami Chrystus to Dominus Virtutum.

Na kolumnie północnej rozpoznajemy alegorię Gniewu — w postaci kobiety szarpiącej w napadzie wściekłości swe włosy; Pychę, uważaną za główną przyczynę, wyobraża kobieta o dumnie uniesionej głowie i pięknym warkoczu; Obżarstwo — postać o okrągłych kształtach i pełnej twarzy, zbliżającą do ust łapczywie jakiś przedmiot. Występuje tu także personifikacja Zabójstwa — mężczyzna z mieczem w dłoni; Krzywoprzysięstwa — z charakterystycznym gestem przysięgi dzierżąca relikwiarz; Niewiary — trzymająca odwrócony krzyż; Zawiści — z węzłem w dłoni i Nieczystości — wyobrażona przez kobietę ze znanym gestem Wenus Wstydlivej.

Na program tego najbogatszego zachowanego w obrębie romańskiej rzeźby monumentalnej cyklu cnót i przwarzy wywarło wpływ prawdopodobnie „Speculum Virginum” z 1130 roku. W komentarzu do tego traktatu, pomyślanym w formie dialogu między zakonnicą i pielgrzymem, pojawia się w wypowiedzi pielgrzymka obraz dwóch drzew: prawego drzewa cnoty i lewego drzewa grzechu. W ilustrowanym „Zwierciadle” przedstawiono te drzewa na przeciwległych stronach, a na ich gałęziach rysowano owoce oznaczające cnoty i przwarzy, przy czym główne dawały początek pomniejszonym. Wydało się, iż inspiracją dla twórcy programu były też inne współczesne traktaty np. „Liber scivias” czy „Ordo virtutum” mistycznej wizjonerki Hildegardy z Bingen.

Iane treściowo i typologicznie alegorie spotykamy w katedrze gnieźnieńskiej. Występują one zasadniczo na portalu południowym katedry, który zawiera tympanon ze sceną Sądu Ostatecznego; cykl moralny obrazowany przez zestawienie cnót i przwarzy znajduje się na pięciu łukach archiwolty, przy czym występuje tu zarówno symbolika zwierzęca, jak i personifikacje. Na kolejnych łukach widnieją lis i zając, wiewiórka i dzik, mężczyzna z drapieżnym ptakiem na wyciągniętej ręce, kobieta z krzykami w dłoniach, osiołek obok łodygi osu i kozioł, rycerz w hełmie z mieczem i tarczą w dłoni, na której przedstawiony jest lew oraz człowiek z włócznią i tarczą z wyobrażonym na niej sercowatym liściem. Ten sposób przedstawiania pojęć oderwanych jest już dzisiaj

znacznie trudniejszy do interpretacji. Do odczytania przenośnego sensu obrazów cennych wskazówek dostarczały średniowieczne traktaty moralizatorskie, ówczesne baśnie oraz encyklopedie zwierzęce tzw. bestiariusze. Celem owych encyklopedii było uświadomienie człowiekowi faktu, iż „natura jest lustrem ustawionym przed ludźmi, by ułatwić im dojrzenie siebie i Boga” oraz przekazanie treści moralizatorskiej. Dzięki tym traktatom realne lub fantastyczne stworzenia stawały się symbolami dobra i zła. I tak osioł jest symbolem Lenistwa, chociaż samo zwierzę nie jest przecież leniwe. W „Dieta Salutis” znajdujemy jednak uzasadnienie takiej symboliki: osioł lubi jeść osot, a ten ze swymi kolcami przypomina pokusy, które mogą zaważadnąć człowiekiem w czasie leniwego rozmarzenia, pokusy te zaś odczuwa się jak nagłe ukięcie. Kozioł wyobraża Rozwiązołość — w pochodzie grzechów bowiem na nim najczęściej jechała Luxuria. Dzik występuje na archiwolcie jako Gniew. W „Dieta Salutis” przedstawiono dzika rzucającego się w zaślepieniu do ataku na wyciągnięty ku niemu miecz, podobnie jak rozgniewany człowiek, który nie wie co czyni. Wiewiórka zgodnie z bajeczką o samejczyku-wiewiórce, który na zimę wyrzucał z gniazda swą małżonkę, by samemu zjeść nagromadzone wspólnie zapasy, jest symbolem Skąpstwa. Interpretacja pozostałych symboli jest tradycyjna: lis jest tu symbolem Szalbierza lub Kłamcy, zając — wcieleniem Tchórzostwa, rycerz zbrojny w miecz i tarczę ze znakiem lwa to typowy symbol Męstwa, postać z sercowatym liściem na dzierżonej tarczy to prawdopodobnie alegoria Miłosierdzia, kobieta zaś z tamburynem w dłoni uosabia łatwe życie — Lekkomysłowość. Te elementy figuralne zostały przeniesione na wszystkie gzymsy budowy i ułożone w mniej lub bardziej regularnych zestawach; najbardziej czytelny wydaje się jednak program portalu.

Bogate systemy moralne zawarte w sakralnej sztuce średniowiecza miały przemasować do ówczesnego człowieka lapidarnym językiem symboli i alegorii. Popularność takiej formy przedstawienia bezcielesnych pojęć eliminowała trudności interpretacyjne, przed jakimi staje człowiek XX wieku. I chociaż i temu nie są obce takie nośniki idei, wydaje się, że istotną rolę odgrywać musiał tu fakt, że zainteresowanie tamtych ludzi ogniskowało się niemal wyłącznie wokół spraw religijnych, a sztuka sakralna stanowiła podstawowe źródło estetycznych doznań, preferowanych postaw, właściwych poglądów i hierarchii wartości. A kategorie grzechu i cnoty były najważniejszymi pojęciami moralnymi i teologicznymi, gdyż celem życia było cnotliwe przejście przez nie i osiągnięcie zbawienia wiecznego. Na te właśnie sprawy uczulają wszechobecne korowody cnót i grzechów, walki dobrych sił z siłami zła, precyzyjne zestawienia personifikacji i symboli cnót i występów.

GŁOWA PAŃSTWA W KONSTYTUCJACH EUROPEJSKICH PAŃSTW SOCJALISTYCZNYCH

(Dokończenie ze str. 10)

jąc jego funkcję Prezydium Skupstiny Jugosławii. Jednocześnie w uznaniu zasług dla Jugosławii dotychczasowego prezydenta J. Broz Tito zachowano dla niego ten urząd dożywotnio.

Wydawać by się więc mogło, że ten dencja do wprowadzania organów kolegialnych w miejsce jednoosobowej głowy państwa uzyskała przewagę gdyby nie fakt, że istnieją przykłady potwierdzające również istnienie tendencji odwrotnych. Ostatnia ustawa konstytucyjna z 28.III.1974 r. Rumunii wprowadziła bowiem urząd prezydenta. Jest on jednocześnie przewodniczącym Rady Państwa.

Należy na zakończenie stwierdzić, że poszczególne państwa socjalistyczne w Europie cechuje różnorodność w tej dziedzinie, wynikająca z nawiązywania do własnych tradycji i doświadczeń. Wszystkie one jednak wychodzą z założenia, że głowa państwa, czy to w postaci organu kolegialnego, czy prezydenta jest w pełni podporządkowana parlamentowi, reprezentującemu wolę narodu.

Tego rodzaju rozwiązania w państwach socjalistycznych zgodne są z przewidywaniami Lenina co do dalszego rozwoju socjalizmu w świecie. Mianowicie podkreślał on, że „wszystkie narody dojdą do socjalizmu, to jest nieuniknione, ale dojdą wszystkie niezupełnie jednakowo, każdy wniesie coś swego do tej czy innej formy demokracji, do tej czy innej odmiany dyktatury proletariatu”. Ta wypowiedź Lenina stanowi teoretyczne uzasadnienie dla istnienia prezydenta w ustroju socjalistycznym. Właśnie m.in. tę odmienność, wynikającą z tradycji własnego rozwoju, wniosły niektóre europejskie kraje socjalistyczne.

POD PARAGRAFEM

Garaż

TA batalia toczy się już piąty rok. Obie strony gromadzą odpisy dokumentów, pečnieją te czki z papierami. Jerzy J. ma nawet zdjęcia „stanu rzeczy” sprzed lat pięciu właśnie, szkice sytuacyjne, kosztorys nakładów w wysokości 28.155 zł... Sprawa toczy się według wszelkich reguł walki podjazdowej, ty mnie tak, ja cię tak, i znana jest organom administracyjnym wszystkich szczebli według starej i nowej nomenklatury. A ostatnio znana jest sądowi rejonowemu, ponieważ Maria S. wniosła powództwo przeciwko Jerzemu J., iżby ten został eksmitowany z zajmowanego przez siebie garażu, którego Maria S. jest administratorką z upoważnienia właścicielki. I właśnie Jerzy J. przyszedł do redakcji, przedstawił się i powiedział: „Niech pan coś zrobi, bo to się wszystko robi całkiem niepoważnie”.

Garaż wynajmował ojciec Jerzego J., a po jego śmierci w 1962 r. sam Jerzy J., który jest zamiatanym gokartystą i samochodziarzem i z kolei w latach 1963—1966 wynajmował nieodpłatnie garaż na magazyn sprzętu motoryzacyjnego klubowi „Energetyk” (co klub poświadcza); zostały w tym pomieszczeniu skonstruowane pierwsze gokarty, jakie ujrzało nasze piękne miasteczko. Ponadto na ogół jeśli nie gokarty, to zawsze stał tam jakiś samochód (Jerzego J. albo jego ojca), a od 1970 roku trabant Jerzego J. Chodziłoby też o to, że z nim podniszczona murowana komora stała się garażem z prawdziwego zdarzenia, Jerzy J. musiał zainwestować (właśnie owe 28.155 zł). W komorze stał zbiornik potężnych rozmiarów — trzeba go było usunąć. Został częściowo pokryty dach, obite drzewem drzwi i jedna ściana, zasypane doły przed garażem, wybetonowana podłoga. Wszystko to za pieniądze Jerzego J., co potwierdzają świadkowie i kosztorys.

Podczas rozprawy okazało się na dodatek, iż Maria S. nie posiada tak zwanej legitymacji procesowej, tj. upoważnienia właścicieli do administrowania garażem i przylegającą posesją. Ostatnio upoważnienie takie zostało sądowi przedstawione i mówi się w nim, że Maria S. jest administratorką od 1 stycznia 1960 roku, aczkolwiek ona sama w obecności urzędnika odpowiedniego urzędu oświadczyła w sierpniu 1970 r., że nie jest administratorką, co urząd poświadczył odpowiednim dokumentem. Administratorką miała być ówczesna właścicielka całości (potem umarła i teraz właścicielami są jej spad-

kobiercy) i chyba była, bo z nią to zaczęła się wojna przeciw Jerzemu J., potem paleczkę przejęła Maria S., kobieta równie leciwa, ale zacięta.

Jerzy J. posiada na przydział tego pomieszczenia ze cztery co najmniej decyzje administracyjne oraz orzeczenie o wysokości czynszu: 3,12 zł za metr kwadratowy, czyli 81,15 zł miesięcznie, bo lokum ma 26 metrów kwadratowych. Tyle też płaci od przeszło pięciu lat. Przedtem właścicielce płacił więcej, ale ona chciała go wyrugować z pomieszczenia, pieniędzy nie przyjmowała, wracała na adres Jerzego J. on ich też nie przyjmował, szły na skarb państwa. Ale Jerzy J. zmyślał i postarał się o decyzję administracyjną na przydział pomieszczenia, a równocześnie na ścieżkę wojenną wstąpiła Maria S. Odwołaniom nie było końca, aż wreszcie instancja administracyjna wojewódzka, dnia 18 grudnia ub. r. uchyliła decyzję instancji niższej o przydziale lokalu na garaż dla Jerzego J., powołując się na nowe prawo lokalowe, które obowiązuje od 1.VIII. ub. r. (a sprawa ciągnie się od paru lat, zaś ostatnia decyzja przyznająca garaż Jerzemu J. nosi datę 25.VII. ub. r.). Takie załatwienie sprawy motywowano faktem, że przepisy o najmie lokali nie dotyczą garaży.

Ale nawet ta sytuacja nie ma wpływu na stan faktyczny, bo Jerzy J. pomieszczenie użytkuje i płaci za nie. Zrobiła się z tego nędzna i nudna kolomyja nikomu niepotrzebna. Maria S. wystąpiła do sądu, bo chce zapewne odstąpić komu innemu pięknie podszkowany garaż — za kilkaset miesięcznie. Nawet nie wspomina o zwrocie zainwestowanych przez Jerzego J. pieniędzy. Sytuacja jest taka, że ktoś użytkuje garaż, dba o niego i tak dalej, a ktoś inny chce z tego garażu uczynić obiekt przetargów, podbijania ceny i tak dalej. O co idzie? O 26 metrów kwadratowych komory w śródmieściu. I gdyby sytuacja z garażami w Polsce nie była tak tragiczna, nie byłoby tej sprawy, albowiem nie byłoby obiektu przetargu.

Zdrowy rozsądek życiowy przemawia za dotychczasowym użytkownikiem garażu, ale to jest szczegół. Zastanawia mnie natomiast perspektywa, kiedy około 80 roku wyjadą na ulice i drogi tabuny małych fiaczków i tabuny kierowców zaczynają starania wokół garaży. Cóż się wtedy będzie działo? I kto temu sprostą?

pom

Sennik egipski

- 38 -

Strach na płaki — przyjemne zdziwienie
Stać się — będziesz niezadowolony z siebie
Stratowane zboże — katastrofa majątkowa
Straż trzymać — odpowiedzialne stanowisko
Straż pożarna — ostudzą się twoje zapaly
Strączki grochu — nadzieje, które nie przyniosą szczęścia
Stroić się — bezmyślność w uczynkach
Stróż — kołopoty z władzami
Stróżka — awantura w domu
Strucla — powodzenie
Strumyk — życie ułoży się gładko
Strumień rwący — przeszkody
Struny — sercowe kłopoty
Strupy — obmowa
Struś — stchórzysz przed czymś
Strych — nieprzyjemności, kłótnia
Strych z bielizną — choroba
Stryj — intrygi
Strzał — ważne wiadomości
Strzecha — przez niedbalstwo nieszczęście
Strzelba — przygoda
Strzemię — podróz
Strzyżonym być — oszukają cię
Student — beztrudnie przygody
Studnia — przyszość bez jutra
Studnia, czerpać z niej wodę — dobre załatwienie interesów
Studnia bez wody — duże kłopoty
Stula — przyjmiesz nowe obowiązki
Suchary — ciężkie czasy
Suknie ładne — dobrobyt
Suknia czarna — smutek
Suknia biała — radość, nowe nadzieje
Suknia podarta — straty
Suknia brudna — wstyd
Suknia ciasna — zły stan interesów
Suszyć bieliznę — choroba w rodzinie
Syn — zmartwienie
Sypialnia — nieprzyjemne sprawy
Sypialnię kupować — ożenek lub zmiana otoczenia
Szachy — bezczynne życie
Szafa — domowy spokój, zadowolenie
Szarańcza — zniszczenie
Szarotka — dobra przyjaźń lub wierna służba
Szatan — niebezpieczeństwo na ciebie czyha
Szczaw — zerwanie przyjaźni
Szczepienie — niezadanie w interesach
Szczepie u drabiny — korzystne propozycje
Szczotka — kłótnia w domu
Szczury — rozkradanie, niszczenia mienia
Szczypior — złośliwi koledzy
Szelki — dobry humor
Szewe — wesola zabawa z trunkami
Szkielet człowieka — zmartwienie
Szkielet zwierzęcia — nowe pomysły w interesach
Szklanki napełnione — zadowolenie, powodzenie
Szklanki rozbite — dobra wróżba
Szklanki puste — niedostatek
Szpital — wiadomość o chorobie
Szron — zmartwienie, prześladowanie
Sztandar — będziesz cenić swój honor
Sztukmistrz — błagier, nie daj się uwieść
Szygar — narazisz się komuś
Szubienica — obok zaszczytów, zmartwienie
Szufłada — zarobek
Szukać czegoś — zejście z prostej drogi życia
Szum słyseć — wiadomość o nieszczęściu
Szwagier — rodzinna narada

Dalszy ciąg nastąpi

PAMIĘTNIK GLOBTROTERA⁽¹¹⁾

CHWILOWO nie wiedziałem, co spowodowało ucieczkę kłapoucha. Rozglądając się wokół szukałem powodu ucieczki osiołka, naraz stanąłem jak wryty, włosy zaczęły mi się jeżyć na głowie: przede mną leżała kupa mięsa, a straszny łeb podnosił się do góry: był to duży, zwinięty wąż. Zrobilem krok w tył i zacząłem uciekać za osiołkiem.

Zziębnięty dopadłem lasu i tutaj przystanąłem nashuchując. Teraz każdy szelest zmuszał mnie do czujności. Idąc, baczylem na wszystkie strony, a osiołek dreptał za mną spokojnie. Obszedłem polanę i skierowałem się ku morzu.

Nad morzem czulem się bezpiecznie, rozpalłem ognisko, a swego zbawiciela klepnąłem jak zawsze po zadzie, ażeby szedł sobie szukać smacznej rośliny. Teraz gruntownie przejrzałem swoje worki. M. in. znalazłem zawiązaną, a w nim dolary. Naliczyłem ich równo 200. Z tego wszystkiego rozplakałem się. Po spożyciu posiłku ruszyłem w dalszą drogę. Osiołek dreptał za mną jak wierny pies, ze spuszczoną głową. W pewnym momencie dotarliśmy do obcego obozu.

Przy ognisku siedzieli dwóch Indian, piekąc udu pawie. Na mój widok poderwali się i chwycili za leżące obok machete, lecz po chwili uspokoiłi się i gestem rąk zaprosili do ogniska. Usłyszałem, jak jeden powiedział do drugiego: Es un gringo. („To jest Amerykanin”). Czekliowo rozumieliem ich mowę, było tutaj wiele słów podobnych do własnego.

Po godzinie dotarłem do jakiegoś zabudowania. Sledząca koło domu kobieta rozcierzała kamiennym walkiem na kamiennym płycie masę na papkę; kiedy

mnie zauważyła, szybko zniknęła w otworze domu.

Nie śmiałem wchodzić do środka, więc czekałem aż ktoś się zjawi. Wreszcie w otworze chaty stanął wysoki, szczupły mężczyzna. Był to biały człowiek, jak się okazało, Amerykanin z USA. Zaprosił mnie do wnętrza i poczęstował piwem udem oraz prażonym na tluszczyku ryżem, który był mocno przyprawiony pieprzem, a na popiele dostawałem sok kokosowy. Po śniadaniu zaprowadził mnie do swojej warzelnicy oleju. Miał on w tych stronach obszerne plantacje drzew kokosowych. Z owoców tych drzew wyłagał olej i kopre, które dwa razy do roku sprzedawał swoim rodakom. Otóż dwa razy do roku do Puenta del Gado — bo tak się nazywa ten mały cypel — zawiązał statek, który zabierał od niego wspomniane produkty.

Amerykanin wyjaśnił mi, że gdybym był tutaj dwa tygodnie wcześniej, to mógłbym się zabrać do Stanów z jego współnikiem, który jest również właścicielem przyjeżdżającej barki.

Gospodarz udzielił mi dalszych wskazówek, zaopatrzył w prowiant; po dwudniowym odpoczynku wyruszyłem w dalszą drogę.

W połowie października 1949 roku szczęśliwie dotarłem do miasta Limon. Tutaj mieszkał dobry przyjaciel tego Niemca z Davidu, do niego również miałem adres. Bez kłopotu odnalazłem tego człowieka, który był właścicielem dużego tartaku. Otóż ten Niemiec był o wiele bogatszy od swego ziomka z Davidu. Jego dom niewiele różnił się od pałacu. Miał piękny samochód oraz dużą służbę domową. Zostałem przyjęty bardzo gościnnie, a Niemiec zabronił mi wyruszać w dalszą drogę przez okres trzech tygodni.

Miasto Limon było, tak jak inne mia-

sta Środkowej Ameryki, małe i ruchliwe. Na każdym kroku tylko sklepy, knajpy i różne stragany. Na ulicach gotowano i smażono tradycyjne potrawy. Przez kilka godzin waleśałem się po mieście, oglądając i podziwiając to wszystko, co moje oczy widziały.

Po obiedzie udałem się z Niemcem do ogródka na piwo. Tu dowiedziałem się, że on za trzy tygodnie wyrusza konno do swego przyjaciela, a mnie dzień przed swoim wyjazdem podwiezie samochodem do granicy Nikaragui, skąd będę musiał dalej już sam dawać sobie radę.

Granicę do Nikaragui przeszedłem bez żadnych przeszkód. W tym kraju coraz częściej spotykałem ludzi jadących w jedną i drugą stronę na osłach lub koniach, albo też na mulach, które już nieraz brałem za konie. Czasami przejechał rozklekotany samochód. Ja nie zważałem na nic, tylko wciąż szedłem przed siebie, podążając do stolicy. Tu, taj ulokowałem się w małym hoteliku, gdzie solidnie się wyspałem. Następnego dnia spotkałem kilku Polaków, którzy mieli sklepy z obuwiem. Od nich dowiedziałem się o tutejszych obyczajach i o innych potrzebnych mi do podróży sprawach.

Tydzień byłem gościem jednego, jak i drugiego Polaka. Od nich również otrzymałem pomoc na drogę i ruszyłem do granicy Hondurasu. Od jednego z tych Polaków dowiedziałem się, że w Tegucigalpie mieszka pewien Polak, który posiada jacht i bardzo często pływa nim do Stanów Zjednoczonych. Reczył mi, że jak spotkam rodaka w Tegucigalpie, to tamten pomoże mi dostać się drogą morską do Stanów Zjednoczonych.

Tak więc wybrałem kierunek na Tegucigalpe. Do granicy jechałem autobu-

sem, wysiadłem jakieś 10 mil od granicy. Przekroczyłem ją bez żadnych przygód. Zresztą dotychczas, jak zaobserwowałem, granice te były słabo strzeżone i nie wiem, czy w ogóle istniała tutaj jakaś straż. Oznakowania granicy również nigdzie nie spostrzegłem.

Szedłem na wyczuwanie czasu. Staralem się nie zbacać za daleko od drogi. Przedzierając się poprzez gęstwinę krzewów i różnych paproci, sięgających ponad moją głowę, musiałem zmiężyć sporo czasu, ażeby wreszcie znaleźć się na upragnionej drodze.

Pomalu przyzwyczaiłem się do całej tutejszej fauny i flory. Szedłem już bez obaw, a tu i ówdzie pelzające gady i inne nieznane mi stworzenia nie straszły, jak w początkach mojej podróży. Czasami udawało mi się trafić na drzewo, które miało bardzo smaczne owoce; tutejsi ludzie nazywali te owoce mango. Pewnego razu natrafiliem na duże rozłożyste drzewo, na którym rosły owoce niewiele różniące się od naszych śliwek. Znalazłem kilka tych owoców i spróbowałem. Ich smak był słodki i mdły. Nagle dostawałem skurczu szczeki. Przez długi chwile nie mogłem otworzyć jamy ustnej, lecz powoli i stopniowo dziwny skurcz ustawał i mogłem z powrotem swobodnie poruszać szczękami. Od tego czasu nie wzięłem do ust żadnego owocu, którego nie znam. Będąc jeszcze nad brzegiem morza raz usiłowałem rozbić orzech kokosowy; ilekroć grzmotałem nim o kamień, ten odskakiwał jak piłka. Skorupa była tak twarda, że i macheta z ledwością dalek sobie radę. W środku tego kokosu znalazłem drugą skorupę koloru ciemnobrązowego, wielkości gęsiego jaja. W tej skorupie były — tak jakby umyślnie zrobione — dwa małe otwory zakryte błoną. Tę błonkę przekłułem w obu miejscach, skąd wypłynął sok; wcale nie było to podobne do mleka, jak niegdyś słyszałem.

(Dalszy ciąg nastąpi)

OPINIE

■ „Tomasz Mann był prawdziwie niemieckim pisarzem. Nie tylko dlatego, że przysłał swemu ojczystemu językowi mocy i głębi, jak nikt tego od czasów Goethego uczynić nie zdołał, że u podłoża wszystkich jego poczynań pisarskich tkwi wiara w siłę humanistycznej postawy, ale i dlatego, że stał się kronikarzem losu niemieckiego, poszukiwaniem i pomyłką swego narodu” — napisał Wilhelm Szewczyk. 6 czerwca minęła setna rocznica urodzin Manna. Wielki pisarz nie potrafił jednak przewidzieć największej tragedii swego narodu, kiedy twierdził, że człowiekowi jest łatwiej strzelać do samego siebie niż do drugiego człowieka.

■ „Nigdy i nigdzie nie zdarzyło się dotychczas, aby wielomilionowy naród, bogaty w wybitne indywidualności i talenty, uczestniczył tak masowo i aktywnie, w warunkach pełnej swobody, w postępowym rozwoju życia duchowego, jak to ma miejsce obecnie w naszym kraju. Dzięki powstaniu nowej historycznej wspólnoty społecznej, wszechstronnej wymianie dóbr kulturalnych narodów ZSRR, życie duchowe naszego kraju stało się niezwykle bogate i różnorodne” — donosi „Sowietskaja Kultura” w pełnym uzasadnionym optymizmie artykule na temat współczesnej literatury radzieckiej.

■ Prezydent Meksyku, Luis Echeverria, opowiedział się za wyeliminowaniem producentów prywatnych i przejściem kinema-

tofracji meksykańskiej przez państwo. Prezydent dodał, iż meksykańscy producenci filmowi „rozmięniają na drobne narodoow do-robek kulturalny” i apelował o asybltny, zaangażowany społecznie film meksykański. Od lat polscy krytycy domagają się ambitnego, zaangażowanego społecznie filmu polskiego, aczkolwiek producentów prywatnych, na szczęście, u nas nie ma.

■ „Uczestnictwo w programie „Sam na sam” wymaga szczeroci wobec milionowej widowni, ujawnienia pewnej kontrowersyjności, ale pozwala, dzięki różnorodnym i trudnym pytaniom, na „iną i wszechstronną prezentację. Na przykład Hasior był swego rodzaju odkryciem jako osobowość telewizyjna, bo bezkompromisowo i z odwagą bronił swych poglądów na sztukę. Taka postawa spotyka się z nieustępliwym przyjęciem przez telewizyjną widownię. Program „Sam na sam”, poza warstwą publicystyczną, spełnia wszystkie warunki widowiska telewizyjnego” — stwierdził Janusz Rolicki. Może to i prawda, aczkolwiek trzeba dodać, iż sztuka chwalała samego siebie opanował do perfekcji Janusz Rolicki, który prowadzi „Sam na sam”.

TRADYCJE

■ 1800 lat temu Klaudiusz Ptolemeusz w swoim „Zarysie geografii” wystawił metrykę Kaliszu. Przed 175 laty kaliszanie własnym sumptem zbudowali teatr, w którym grywał Wojciech Bogu-

slawski. Od 1868 roku w Kaliszu ukazywało się czasopismo „Kaliszanin”, a później „Gazeta Kaliska”. W Kaliszu urodził się Adam Asnyk, w latach 1849—1882 mieszkała tu Maria Konopnicka, zaś w Rutasowie, niedaleko Kalisza, urodziła się Maria Dąbrowska, która zlokalizowała w tym mieście akcję swej słynnej powieści „Noce i dnie”. Ekranizację tej powieści kręcono jednak między innymi w Stoczku Łukowskim na Lubelszczyźnie.

■ Zamość słynie w świecie jako znakomite dzieło poznorenesansowej architektury i myśli urbanistycznej. Założona w XVI wieku Akademia Zamojska, posiadająca własną drukarnię obejmowała swoimi wpływami również środowiska zagraniczne. W Zamościu działali sławni pisarze: Sebastian Klonowicz, Szymon Szymonowicz, Kajetan Koźmian, Bolesław Leśmian. Ten ostatni jednak jako rejent nie zrobił w Zamościu kariery, oszukany przez współnika. Ciekawe też, co by powiedział hetman Jan Zamojski i kanclerz Andrzej Zamojski, gdyby zobaczył dzisiejszy stan architektury zespołu zabytkowego.

■ W XV wieku na dworze Władysława Jagiełły koncertował kompozytor polski, Mikołaj z Radomia. Za czasów Stanisława Augusta w radomskich zajazdach występowały trupy teatralne, zaś pierwszy teatr publiczny powstał w mieście w roku 1809. Tak więc Radom słynie nie tylko z produkcji maszyn do szycia i do pisania oraz produkcji obuwia, na którego jakość zresztą czasem skłonni jesteśmy narzekać.

PENDERECKI NARESZCIE PROROKIEM

■ Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju — głosi przysłowie. Niedawno, w sześć lat od światowej premiery w Hamburgu, odbyła się polska prapremiera o-

pery Pendereckiego „Diabły z Loudun”, która wystawił Teatr Wielki w Warszawie. Kompozytor jest też autorem libretta, opartego na wydarzeniach z historycznego procesu, jaki w I połowie XVII wieku wytoczono proboszczowi miasta Loudun we Francji. Oskarżony o kosażachtę z diablem, ksiądz Urban Grandier został spalony na stosie. Wedle 9-krześnia Pendereckiego — jest to raczej dramat muzyczny niż opera. Nikt nie informuje, czy „Diabły z Loudun” miały być wystawione w Lublinie. Może kiedy zostanie zbudowany nowy teatr?

W JEZIORANACH

■ Radiowe Jeziorany zlokalizowane są na Lubelszczyźnie, zaś losy rodziny Jabłonskich siedzą z zapalem nie tylko chłopcy polscy, ale również radzieccy, czechosłowaccy, rumuńscy i szwedzcy. Opowieść ukazuje się na antenie od lat 15. Gdyby wszystkie odcinki, publikowane zresztą na łamach „Dziennika Ludowego”, wydać drukiem, wypełniłyby 23 tomy, z których każdy liczyłby po 1000 stron maszynopisu. Rozgłośni lubelskiej PR można by zaproponować, by zlokalizowała na Lubelszczyźnie akcję jakiejś powieści z życia górników.

CZARNY CHLEB TO NIE CZARNE CHMURY

■ „Czarny chleb” to tytuł nowego francuskiego serialu telewizyjnego w reżyserii Serge Moau. Jest to opowieść z życia pewnej rodziny chłopskiej z Limousin. Serial pochłonął 12 milionów franków i pracowano nad nim trzy lata. Wystąpiło 85 aktorów i 500 statystów, uszyto 6 tysięcy kostiumów. Film obejrzało 10 milionów widzów. Pewną pocięką może być fakt, że nasze „Czarne chmury” kosztowały jednak taniej, a i mniej ludzi je obejrzało.

STARY GENIUSZ

■ Salvadore Dali ukończył 79 lat. W rozmowie z dziennikarzem z „Le Monde” oświadczył, że mylarzem jest raczej miernym, choć to mu nie przeszkadza być i tak najlepszym spośród współczesnych, jest natomiast doskonałym pisarzem i właśnie konczy ostatni akt tragedii erotycznej pt. „Meczenicy”. Rozmowa nie dotyczyła sławetnych wasków Daliego, tak że ostatecznie nie wiadomo, w jakim celu są stane i czy na przyszłość lysienie dotyczy również wasków.

NOWOŚĆ

■ Ukazał się pierwszy numer kwartainika społeczno-kulturalnego „Regiony”. Znosi się, iż będzie to pismo nad wyraz (i nad „Nowy Wyraz”) interesujące — poświęcone zjawiskom, jak zapowiada redakcja, „wyrastającym z autentycznego podziemia kultury chłopskiej i robotniczej oraz tym różnorodnym formom i przejawom aktywności kulturowej, które energię swą czerpią z przeobrażeń społecznych naszego kraju”. Jedyną wadą pisma jest, że wychodzi ono w Warszawie i posługuje się terminem „kulturotwórczy”.

UWAGA! UWAGA!

■ Z okazji XXV-lecia TWP został zorganizowany konkurs na publicystykę krajową, poświęconą prezentacji ruchu TWP. Pierwszą nagrodę w tym konkursie zdobyła red. Zofia Dubiewicz ze „Standaru Ludu” za wieloletni dorobek dziennikarski zwierzany właśnie z działalnością TWP. Pani Zofii serdecznie gratulujemy i nie od rzeczy będzie dodać, iż przewodniczącym jury był prof. Wincenty Okoń. Ostatnimi laty lubelscy dziennikarze dosyć często zdobywają nagrody na forum krajowym, nie może więc być mowy o jakimś poczuciu drugorzędności.

noty i notki

● Krzysztof Mętrak regularnie zamieszcza w „Kulisach” swój felieton pod stałym tytułem „Póki co”. Felieton dotyczy na ogół spraw kulturalnych, często literackich, a zwrot „póki co” jest rusycyzmem. Ten błąd językowy powtarza się ostatnio bardzo często, na ogół w prasie warszawskiej.

● Pani Dioniza Wawrzykowska — Wierciochowa opublikowała w „Tygodniku Kulturalnym” z 8 czerwca br. szkic pt. „Polki w walce o równouprawnienie kobiet”, ilustrowany trzema fotografiami dam, które się szczególnie zasłużyły w wiadomej kwestii. Dziwne przecież refleksje budzi zdjęcie pani w binoklach. Otóż przypomina ona do złudzenia... mężczyznę.

● W oknie restauracji „Powszechna” w Lublinie znajduje się informacja, że zakład specjalizuje się w kuchni włoskiej. Poprosiliśmy spaghetti, otrzymaliśmy rozbrajający uśmiech kelnera i wyznaczenie: „Nigdy nie było, nie będzie, możemy natomiast służyć zupą fasolową”. Ciśnie się pod pióro trywialny nieco dowcip, że z potraw włoskich najłatwiej w Lublinie o zupę z włosiem.

● Zyjmy dłużej — mówi kierownictwo pewnego klubu spółdzielczego w Radzynie Podlaskim i częstuje prelegenta TWP kawą marki „Inka”. Gdzie te czasy, kiedy w klubach „Ruchu” odbywały się ostre zapasy w picu prawdziwej kawy. Mądrzej ludzie.

● „Nie podpiszę, bo zaraz się wszystkim zleca” — tymi słowami pani Agnieszka Ostęcka odprawiła dzieciaka, który przybiegł do niej z prośbą o autograf przed

przedstawieniem sztuki tej pani pt. „Dixi”, wystawionej w Teatrze Lalki i Aktora w Lublinie. Dziecko przyszło do teatru po naukę i rozrywkę, a dostało przytka w nos. Zapamięta.

● 22 numer „Prawa i Życia” przypomina, że zgodnie z kodeksem cywilnym (art. 23 i 24) karalne jest publiczne eksponowanie wizerunków ludzi bez ich zgody. W takim razie należałoby w stan oskarżenia postawić fotoreporterów i panów, którzy kręcą filmy dla telewizji. Oglądanie stałe i wyłącznie (tu nazwisko), w przypadku „wyłączenia” wspomnianych fachowców, mogłoby okazać się jednak nieco nużące.

TG

● W jednym i tym samym — 5 — numerze „Poezji” zostały podane dwie różne wersje śmieci Lucjana Szenwald. Andrzej Zienkiewicz: „Dnia 22 sierpnia 1944 r., 34 kilometry od Lublina, pod Kurowem, zdarzył się wypadek samochodowy. Na jeepa z kilkunastu oficerami i Armią wpadła ciężarówka wioząca benzynę na front. W katastrofie zginął kapitan Wojska Polskiego, Lucjan Szenwald”. Włodzimierz Sokorski: „Poezja, proza, publicystyka, nadal były problematyką wojny, która przecież ciągle frwała o niecałe dwieście kilometrów dalej, pociągając ofiary w postaci chociażby Lucjana Szenwald, który ginie od pocisku rozerwanego w ciężarówce”.

Sokorski myli się dodatkowo podając, że spikerem „Polskiego Radia” w Lublinie był Jerzy Jurandot, pomija natomiast Igora Sikiryckiego. Myli się również przytaczając tytuł pewnego wiersza Gałęzińskiego jako „Epitafium”, podczas gdy wiersz nosi tytuł „Liryka, liryka, tkliwa dynamika”. Tekst zajmuje trzy strony druku.

ZM

ekran i widz

Nagrody i nie tylko...

TEGOROCZNE — XV Ogólnopolski i XII Międzynarodowy — festiwal filmów krótkometrażowych w Krakowie przyniosły kolejną porcję filmów godnych uwagi.

Jury miało dość trudne zadanie. Jakkolwiek by bowiem zestaw filmów został nagrodzony, zawsze można było zapytać: „a dlaczego nie inne, skoro są również dobre?” Najwięcej zastrzeżeń miała publiczność i dziennikarze do Grand Prix — „Robić swoje” Piekutowskiego. Zarzucano, że jest to film ani lepszy, ani gorszy od innych, natomiast jego jedyną zaletą jest zyciorys i swada z jaką go przedstawia bohater filmu — prof. Jerzy Grzymek.

Jednogłośnie aplauz zyskał „Zyciorys” Kiesłowskiego, który udowodnił, że można w sposób ciekawy i odważny pokazać mądre ważne problemy współczesności. Prostotą, nutką sentymentu i dobrym montażem urzekł widownię film „Gdy wszystko było pierwsze” Makarczyńskiego, prezentujący pierwsze tygodnie życia w pierwszej po wojnie stolicy Polski — Lublinie. Znakomity był też „Matcznik” Soloniewicza.

Sprawnie zrealizowane zostały filmy dokumentalne: „Czarny pajak nad Chile” Edmunda Z. Szymańskiego i „Portugali rok drugi” Szmagiera.

Animowane filmy tego roku zawiodły. Ich honor ratowała „Ręka” Kijowicza i makabreska „Ściany mają uszy” Ryszki, która opowiada o wścibstwie ludzi w życie bilżnich.

Jury Festiwalu Międzynarodowego miało mniej kłopotów z przyznaniem na-

gród. Zdobywca Grand Prix „Złotego Smoka”, film „Ogień nad Heimaey” islandzkich twórców Ólsvadura i Wilhjalamura Knudsenów przedstawił unikalnymi zdjęciami zagładę wyspy Heimaey, spowodowaną jednym z największych, ze znanych, wybuchów wulkanu oraz akcją ratunkową.

„Złote Smoki” zdobyły filmy: „Eksperymenty” Anglika Robina Lemana oraz „Kowale” Węgry Janosa Zsambolyaia, co było zgodne z opinią widowni. Pierwszy — błyskotliwie, przy pomocy zdjęć kontrastuje rozwój lotnictwa z odwieczną, nieobcą także dzisiejszym śmiałkom, chęcią człowieka odcierania się od ziemi. Drugi — w prosty sposób przedstawia trud zawodu kowala.

Znakomity „Marko Perov” Jugosłowianina Zivko Nikolica nazwany został przez publiczność i krytykę nie tyle filmem, ile dziełem filozoficznym: stary człowiek obserwuje nieruchomo toczące się wokół niego życie, panta rei...

Podobał się dowcipny film radzieckiego twórcy, laureata Grand Prix XI MFFK, Flodora Chitruka „Podaruję ci gwiazdę”, czyli inaczej, że kobieta od początku świata jest motorem wszelkich poczynań i od początku... niewiele z tego ma. Z animowanych aplauz zyskał bułgarski film „Opera za jeden orzech” Genco Simeonova oraz znakomity „Głód” Kanadyjczyka Petera Foldersa.

Z polotem i dowcipem przedstawił Węgier Elek Lisziak swoją stolicę sprzed lat w filmie „Halo, Budapeszt”.

Wreszcie — bodaj najlepszy film festiwalu, pokazany poza konkursem, jako że jego autor — Jugosłowianin Dusan Vukotic był członkiem jury — „Skoczek” zdobywca nagrody „Fipresci”, w znakomity sposób łącząc „normalny” film z animacją, w prosty, wzruszający sposób opowiedział o walce Jugosłowian z hitlerowcami, a na tym tle o wrażliwość chłopca, którego rodzice wyznają konsumpcyjną zasadę życia.

Organizacja festiwalu była lepsza niż w roku ubiegłym.

Maciej Kuczewski



Odpowiedzi redakcji

K. E. D. W pierwszym momencie odruchem zniecierpliwienia chciałem odsunąć od siebie te cztery krótkie wiersze w dodatku będąc obciążony obowiązkiem ich oceny, co przy tak skąpej ilości materiału jest trudne. Jednakże w trakcie lektury mój nastrój się zmienił. Stwierdziłem, że wiersze zawierają jakiś element „lirycznej rozmowy”, jaka między autorem a czytelnikiem powinna się wywiązać. Ale pyta Pani „co jest w nich najbardziej złe”. Otóż — dość zdawkowe mimo wszystko potraktowanie tematu. Wystarczy kilka trafnych słów i wyczerpuje się napięcie. Poezja to mimo wszystko nie samo wyznaczenie. To również próba uformowania wizji świata niezależnie od tego, że powodujący te próby impuls często bywa nikły, a nawet przypadkowy. Zresztą proszę nie przyjmować tego określenia jako zamykającego możliwości. Pani czynnym kontaktem z poezją. Już w nadsyłanym materiale dadzą się zaobserwować zalety przyszłych doświadczeń i autorefleksji. Tych właśnie w postaci rozwiniętej serdecznie życzę.

A. B. Zamość. Poszukuje Pan środków spopularyzowania poezji i proponuje Pan włączenie jej do repertuarów zespołów śpiewających, instrumentalnych, estradowych. Z jednej strony możliwe — jeśli wykonawcy to podchwyca — że będziemy mieli do czynienia z większym atakiem poezji na odbior społeczny, ale z drugiej zastanawimy się, czy poezja tak podawana zachowa swą wartość. Jeśli ma się to odbywać na zasadzie, że słuchacz i tak musi wysłuchać, bo megafon, wzmacniacz, tranzystor jeszcze się nie wykrzyżował, to wątpię, czy poezja dla nieinteresujących się nią dotychczas stanie się czymś innym niż ten smietnik pseudomuzycznych wrzasków, który pod mianem piosenki wysypuje się w powietrze. Ja osobiście bardzo bym pragnął, by Leśmian, Staff, Tuwim, nie byli prezentowani na równi z rewelacjami o jakimś tam wietrze itp., które się parokrotnie powtarza jako niebywale ekspresywne puenty w piosenkach. Owszem, rozprawia się o możliwości znalezienia dla poezji innej formy przekazu niż publikacja książkowa, ale moim zdaniem jest to dyskusja zaściankowa. Albo sama poezja (jakaś jej postać) nie ma sily trafić do czytelnika i wtedy nie pomoże jej podwórka w postaci aparatury dźwiękowej, albo czytelnik roznieglizowane i rytmicznie chwycające się dziełowe stawia na pierwszym planie wśród impulsów swoich przeżyć duchowych i nie wychajmy mu na siłę Norwida. Ten będzie czytany, albo nie. Ani jedno ani drugie nie zależy od elektrycznej gitary.

S. M. Lublin. Ma Pani rację. Wytwarza się pewien typ „poety”. To znaczy kogoś, kto na dobrą sprawę jest nawet niezłe zorientowany, ale raczej w aktualnej geografii zjawisk literackich, niż w historii prądów i kierunków, raczej śledzi profesjonalne wydarzenia, niż zabiega o szeroką orientację humanistyczną. Nie wiem, czy dość wyraźnie to określam. Jak bywają studenci, którzy z powodzeniem odbywają studia, ale zdobywają wiedzę tylko w zakresie skryptów, tak są poeci, których twórczość streszcza się do wyprodukowania co pewien czas kartki z metaforami. Cóż z tego, że udanymi, skoro formacik tego jest niewielki, a zamysł doraźny. W ten sposób można zmontować nieledwie „tomik” i to nie na przestrzeni dużego czasu. Umiejętność chwycenia gry stylistycznej — oto co najgorzej w poezji. To nawet z nią nie zgadza. Jak konwenans z uwielbieniem, jak z miłością flirt.

B. G. Włodawa. Straszna to rzecz — dłużyzna. Na dobrą sprawę do wielu klasyków możemy mieć o to pretensje. Ale oni znajdowali się w innej sytuacji. Ich czas płynął wolniej. My przez czas jesteśmy poganiani i rytm zdania w opowiadaniu współczesnym musi to odczuć. Nie wolno komunikować rzeczy znanych, a pod tym kątem przejrzały pański tekst dalby się skrócić o trzy czwarte. Proszę o dowierzenie swojemu czytelnikowi. On sobie potrafi dopowiedzieć jak wyglądała drzewa widziane przez okno jadącego samochodu. Kiedy się nad tym autor zaczyna rozwodzić, samochód zwalnia bieg, a z nim opowiadanie. Nie utrzymał Pan tempa.

J. M. Leśna Podkowa. Trudno mi odpowiedzieć, co dyskwalifikuje pańskie rymowane spostrzeżenia jako fraszki. Bo jeśli stwierdzę, że brak dowcipu, to z kolei musiałbym przedstawić definicję tegoż, a to czynił już Bergson. Pigoń i inni, czyli wystarczyłoby mi się wykić czymś w rodzaju odpowiedzi na bibliograficzną kwerendę. Ale nie o definicję chodzi. Utwory nie mają sily zakoczenia, zdemaskowania, szyderstwa, która w satyrze jest nieodzowna. Satyra musi mieć nad-słuszną. To znaczy słusność celna i ironiczna. Zwyczajną już w pierwszym starciu. Przez k.o. Na punkty przegrzywa zawsze.

W. R. Zamość. Ma Pani rację, że każdy ma swój własny zakres przeżyć i że te przeżycia nie zawsze znajdują drogę do tego, co jest tzw. lirycznym komunikatem. Ale tu właśnie zaczyna się rola talentu: przedstawiciele osobiste tak, by było przyjęte przez inną osobowość. Nie znaczy to, że należy w tym celu zrezygnować z intymności przeżycia. Znaczący to — trafić, umieć adresować. Hez to poetyckich satysfakcji posiada czytelnik, który twierdzi, że nieoczekiwanie znalazł się ktoś, kto przeżywa w podobny sposób, kto może coś powiedzieć o sprawach, zdawałoby się schowanych w zakamarku jego — czytelniczej — wrażliwości. A jest to również satysfakcja i autora.

Szyfrogram literacki (nr 13)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu litery na miejsce odpowiadających im liczb i odczytać rozwiązanie — fragment prozy polskiego pisarza, którego 25 rocznica śmierci przypada w tym roku. Pierwsze litery początkowych 16 wyrazów utworzą imię i nazwisko tego pisarza. Pojedyncze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — koniec zdania.

- Wyrazy pomocnicze:
16. 12. 23. 161. 54. 112. 57 — uprawa winogron.
6. 34. 53. 28. 36. 104. 21 — pierwotne oświetlenie.
5. 19. 119. 76. 113 — dowód niewinności.
1. 15. 83. 26. 17. 38 — miasto przybyłe województwu lubelskiemu.
10. 31. 115. 85 — angielska miara długości.
3. 68. 134. 78. 48. 52. 96. 32. 18 — pomysłowy los.
60. 81. 22. 92. 98. 29 — kraina między Nysą i Łabą.
26. 61. 118. 71. 110. 31 — stolica Teksasu.
35. 41. 99. 105 — drzewo liściaste.
87. 124. 63. 11. 106. 72. 43. 67. 93 — obywatel Włocznego Miasta.
7. 46. 162. 123. 77. 127 — wyzwiisko.
24. 13. 48. 39. 9 — ma połączenie promowe ze Swinoujściem.
8. 44. 64. 86. 121. 133. 167. 138 — rzadkie w Europie drzewo liściaste.
2. 136. 47. 66. 109 — góra greckich bogów.
23. 88. 58. 45. 108 — przepływa przez Nakło.
4. 111. 62. 55. 27 — groźna choroba z zabrudzonej ziemi rany.
97. 65. 73. 20. 84 — chronią głowy przed rozbieleniem.
75. 95. 89. 103. 56 — sprzęt domowy.
90. 79. 94. 114. 129. 74. 23 — Portirion.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	
14	15		16	17	18	19	20	21	22	23	24		25	26
27	28	29	30	31	32	33	34		35	36	37	38	39	40
41		42	43	44	45			46	47	48	49	50	51	52
53	54	55		56	57	58		59	60	61	62	63	64	65
66		67		68	69	70	71	72	73	74	75		76	77
78		79	80	81	82	83	84		85	86		87	88	89
90	91	92		93	94	95		96	97	98	99		100	101
102	103		104	105	106	107	108		109	110	111	112	113	114
115	116	117		118	119	120	121	122	123		124	125	126	127
128	129	130		131	132	133		134	135	136	137	138	139	

80. 117. 166. 82. 139 — nowe miasto wojewódzkie.
135. 132. 37. 137. 42. 125. 50 — przywódca, osoba lub grupa kierująca innymi.
58. 122. 76 — dodatek do mięsa.
116. 46. 126. 14. 81 — list żelazny.
69. 126. 136. 131. 128 — człowiek statystyczny.
Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 11 był fragment wiersza „Maj” z poematu Ernesta Brylla „Rok Polski”:

„Wnuki tych, którzy nigdy urlopu nie znali
Jak urlop bezrobocia — na majówkę jedą
I jak to dziennikarce nie raz już osmielił
Autobus pełen wódki a chłopcy gromadą
Śpiewają pieśni...”

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 11 cztery bony książkowe po 40 zł każdy, wylosowali: Anna Harasymuk, 20-687 Lublin, ul. Rymwida 8/14; Władysław Panaczyk, 56-254 Wrocław, ul. B. Chrobrego 28 m. 6; Lech Misztal, 26-611 Lublin, ul. B. Chrobrego 15 m. 20; Kazimierz Pleśniak, 60-976 Warszawa 13, skr. poczt. 111.

listy do kamery

„CO JEST GRANE NA TYCH TARGACH?”

Po przeczytaniu artykułu JJK „Co jest grane na tych targach?” („Kamera” nr 7) nasunęły mi się następujące spostrzeżenia.

„Targi staroci” są imprezą legalną, organizowaną w bardzo wielu miejscowościach kraju, są atrakcją dla ludności, umożliwiają przepływ „staroci” od osób, którym są zbędne, do osób, które chcą je nabyć. Dzieła sztuki na „targach” w Lublinie nieczęsto są sprzedawane, przeważają w większości dawne przedmioty użytku domowego („starocie”), które trudno traktować jako dzieła sztuki. Sławna figurka z Róści stonowej jest jednym z nielicznych przykładów zbywania autentycznego dzieła sztuki i nie ma obawy że „targi staroci” zamienią się w Lublinie w targi dziełami sztuki (...).

Targi staroci to rzeczywiście normalne targi: nie reklamowane jako wydarzenia kulturalne, tylko po prostu jako targi. Wzbudziły zainteresowanie nie tylko sprzedających i kupujących, ale i dużej liczby zaledzających. Klub podjął się organizacji naprawdę potrzebnej i ciekawej imprezy. Takie przedsięwzięcie musi mieć jakąś lokalizację. Tym razem gościny udzieliły WDK i szkoła, lecz to nie znaczy, że przez to zmniejszyła się ich ranga jako instytucji kulturalnych i oświatowych.

Będąc kilkakrotnie na targach, nie zauważyłem żadnej walki „na gołe pięści”, a tylko specyficzną atmosferę, która towarzyszy zawsze wymianie handlowej. Jeżeli nawet były pojedyncze przypadki targowania się o określony przedmiot, to nie mogą one stanowić podstawy do uogólnień, że targi staroci to bardzo coś złego i nieetycznego.

Fakty nieuczciwego wykorzystywania braku znajomości wartości posiadanych przedmiotów też nie zdarzają się masowo. Osoby sprzedające są najczęściej dobrze zorientowane w cenach zbywanych przedmiotów.

Sklep „Deisy” na pewno jest bardzo potrzebny, lecz nie zastąpi „targów staroci”, na których można kupić i sprzedać różne

stare przedmioty użytku domowego, nie interesujące „Deisy”.

Organizowanie „targów staroci” to jeden z wielu punktów działalności klubów kolekcjonerskich. Wszystkie kluby tego typu w kraju systematycznie organizują „targi”, dlatego Lublin ma być ich pozabawiony?

M.D.

nazwisko i adres znane redakcji

WAŁĄ SIĘ DRZEWA

Ze smutkiem donoszę, że znów zwałiła się grupa kilkunastu, a może nawet starszych drzew, wyrastających z wysokiej skarpy przed osiedlem „Motoru” na Kalinowszczyźnie. Deszcze, lecz przede wszystkim dorastająca młodzież niszczą zieleń skarpy w sposób metodyczny i konsekwentny, albowiem jest to miejsce stosowane do zabawy w podchody i czterech pancernych. Trudno się dziwić dzieciarni, jako że na Kalinowszczyźnie ma ona bardzo ograniczone możliwości godziwej zabawy.

A swoją drogą, kto odpowiada za to, że skarpa nie jest zabezpieczona, np. jakimś kratownicą, która chroniłaby ziemię i drzewa przed osunięciem?!

Alicja Komosińska
Lublin

SMUTNA „NORA”

Gdzie się podziała stara „Nora”, klub środowisk twórczych Lublina — jakimś po miętam sprzed laty? Będąc niedawno w tym samym mieście, wpadłem do przybytku na Krakowskim Przedmieściu, który w drugiej połowie lat pięćdziesiątych służył za miejsce burzliwych dyskusji o sztuce nowoczesnej, literaturze, filozofii. Jak tam teraz smutno i banalnie! Przepada gdzieś atmosfera cyganerii, ton klubowi nadaje damski personel kawiarni, dość obcasowo traktujący klientów. A żarcie jest też pod psem.

Proponuję: zmieścić, jeśli możecie, nazwę klubu na „Mała nora przy Wielkim Bufecie”. Będzie przynajmniej wiadomo, o co chodzi.

dr Janusz Wachniewski
Poznań



Rys. L. Szalecki

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Hechczyk-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przysyła urząd pocztowy oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przysyła: RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 60-340 Warszawa, konto PKO 1-6-180624. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4, Zam. 1515, 13.VI.1975 r. K-4

Numer lamali: Jan Pieczykolan i Wiktor Muda, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kuredy.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-93, dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231 (uwaga: nowy numer!); polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

falsetem

Klient nasz pan

JEDNA z najlepszych rubryk „Szpilek” jest dzisiaj ta z tytułem: „Naprawdę smieszny rysunek”. Wydaje mi się, że warto szerzej upowszechnić znakomity pomysł naszego satyrycznego tygodnika. Już oczyma wyobraźni widzisz napis na „Europle”: „Tu się naprawdę dobrze jada”. (Absolutnie nie może sobie jednak wyobrazić takiego napisu przy wejściu do baru samoobsługowego „Astoria”). Z chwilą uzyskania przez naszą redakcję innego pomieszczenia, bywam tam często. Jedzenie, jak na bar tego typu, jest potwornie drogie. Exemplum: barszcz z botwiny 10 zł, a w dodatku niesmaczne. Aż dziw, że w tym samym budynku mieszczą się biura dyrekcji lubelskiej gastronomii. Widocznie pod latarnią najciemniej.

— Puśćmy jednak dalej wodze fantazji. Oto napis nad kinem „Kosmos”. „Tu się naprawdę ogląda dobre filmy”, albo nad teatrem im. J. Osterwy: „Tu się naprawdę wystawia dobre sztuki”. (Znów dygresja: kiedy w tym teatrze zakończy się stan dyrektorskiej prowizorki? Doświadcze-

nie uczy, że łatwiej jest znaleźć kandydatów na bardziej odpowiedzialne stanowiska. Czy wreszcie napis nad pierwszym lepszym sklepem: „Tu się naprawdę handluje”.

Ostatnio „Sztandar Ludu” wygrał naszym handlowcom — na marginesie ich wypowiedzi w czasie dyskusji, zorganizowanej przez „Kurier Lubelski” — stwierdzając to, o czym wszyscy dobrze wiemy. Wolna sobota to dla lubelskiego handlu latne trzęsienie ziemi. „Nie kupuje w niedzielę i uważam, że zła to gospodyni, która nie uznaje tej zasady” — poucza Stanisław Cisek, zastępca dyrektora WPHS. Nie znam osobiście Ob. Ciska, ale po tej wypowiedzi nigdy nie będę miał ochoty na zawarcie z nim znajomości. Handlowiec, jak sama nazwa wskazuje, powinien handlować, poszukiwać potencjalnych klientów nawet w ciągu 24 godzin na dobę. Nie będę sięgał do przykładów z drugiej strony oceanu, byłem jednak niedawno we Lwowie. Tam sklepy spożywcze są otwarte do późnych godzin wieczornych, a w niedzielę bez żadnego trudu w niejednym sklepie dyżurnym można nabyć różnego rodzaju wiktualii. Jak oni to robią, nie badałem, ale zapewne postępują w myśl zasady, że tabakiera jest dla nosa, a nie odwrotnie. W żadnym sklepie nie spostrzegłem wywieszki w rodzaju „Klient nasz pan” (i to nie tylko z uwagi na niepopularność panów na Ukrainie). Bo i co za pan ze mnie w Lublinie, kiedy w wolne soboty i niedziele mogę tylko przez szynkę oglądać towar?

Chociaż z tymi towarami też nie należy przesadzać. Kiedyś „Sztandar Ludu” przeprowadzał telefoniczne ankiety na temat zaopatrzenia. Zadzwo- nilem i powiedziałem, że jedyny

sklep spożywczy w osiedlu im. Sienkiewicza bardzo się popsuł pod tym względem. Wytknąłem nawet brak podstawowych konserw. Pani kierowniczka szybko odwiedziła redakcję, oznajmiając, że to nieprawda. Po kilku miesiącach muszę podtrzymać moje twierdzenie. Daremnie stukam tu koncentratu buraczanego, koncentratu „Pola-cooty” i w innych sklepach jest, przyprowadź do zup „maggi” w płynie, rosółow w kostkach. Zestaw konserw nieco się powiększył, fakt, ale w dalszym ciągu zauważa się wiele braków. Sklep podlega WSS. Może dyrektor tego przedsiębiorstwa osobiście zainteresowałby się podległą mu placówką? Przy okazji zadajmy mu pytanie, dlaczego tak długo nowe lody chłodnicze nie są tu uruchomione? Dyrektor mógłby również sprawdzić, jak zachowuje się jeździący śniadnięty ponoć z Białowieszy, który nocami krąży po sklepie i tepla... myśli. Kiedyś wieczorem grupka dzieci zaglądała przez szyby, twierdząc, że „tak spalonego szczeniaka jeszcze w życiu nie widziała”. A swoją drogą może sklep znacznie prowadzić dodatkową działalność i założyć małe ZOO?

O handlu (zwłaszcza lubelskim) można pisać nieskończenie. Temat jest tak ograny, że nawet kabaret „Czart” nie bierze go w obroty. Handlowcy przyzwyczaili się do krytyki, rzadko kiedy na nią reagują, wzduszają ramionami, twierdząc, że „prasa się na nas uwzięła”.

A klienci lubelscy? Ci, których stać — jada po zakupy do Warszawy. Może wkrótce zmienią kierunek: do Chelma np. bliżej. Nowa siedziba województwa zechce się zapewne pokazać...

MAJ

Aleksander Rozenfeld



Markowi Kusibie

dzień powszedni średniej miary poety nie odbiega od przeciętności
gdź spotykamy średnich poetów nie czytamy im wierszy
ze strachu przed uśmiechem pogardy
przed niechętnym błyskiem oczu
nie wolno powiedzieć średniemu poecie że jest średni
z nienawiści gotów napisać donos wykopać pułapkę
zastawić sidła
średni poeci żyją na nijakiej stopie metafory
nie wychylają się nie czynią głupstw
wielką poezję zostawiają innym przekonani
o potrzebie własnego istnienia
wszystko co przeciętne w życiu hołubi średnich poetów
nie czynią nikomu krzywdy nie zbawiają narodu
są żywymi alibi dla wszystkiego co nigdy nie wyjdzie
poza przeciętność
średni poeta nie ma poczucia humoru nie wolno mu powiedzieć
nic ponad to co wie co mieści się w jego możliwości
pojmowania świata
średni poeta potrzebny jest dla zachowania
niezbędnej równowagi na geograficznej mapie

minuta myślenia

Kurs na prymityw

TAK zwany przeciętny obywatel ochronę środowiska naturalnego uważa za ideę bardzo szacowną, ale niewielki mazażąc związek z praktyką jego własnego życia. Zagrożenie bytu człowieka na ziemi? To dobre dla jakiegoś Komitetu Rzymskiego, czyli grona nudzących się intelektualistów, którzy sporządzają raporty mające dla rozrywki podnosić włosy na głowie (jeśli takie są) innym nudzącym się intelektualistom. Nie dostaję się do trojejbuse, nie znalazłem odpowiedniego numeru kapelusza, ominęła mnie miesięczna premia — to są kłopoty rzeczyste, nie muszą sobie zmyślać dodatkowych w postaci zagrożenia ze strony jakichś pestycydów i herbicydów, które produkowane przez chemię nie mogą się akumulować ze środowiskiem ekologicznym. Zano, podaj herbata.

I wypływy znakomity „Ulung” Jan Kowalski nie chce wracać do raz już ugruntowanego przesławienia, że całe to zagrożenie to akademicki problem wymyślony przez specjalistów, tyleż dobry, co wiele akademickich problemów innych. Każda epoka ma swoje zmartwienia. W średniowieczu np. martwili się ilu diabłów zmieszał się na końcu szpilki.

Właściwie nie ma sensu wystawiać przed oczy Kowalskiemu apokaliptyczny cum figuris, skoro już taką prezentuje się w teatrze Grotowskiego (tyle że Kowalski jak i autor tego felietonu nie mają tam wstępu), ale ów spokój warto zmacić paroma

stwierdzeniami, które kursują nie tylko w prasie specjalistycznej, a formuła świadomości ludzi skłonnych spojrzeć na objąć tęgą cokolwiek wykraczającą poza herbate, trojejbuse i biuro. Nie odczuwa się tego z poniedziałku na wtorek, ale jest faktem, że na ziemi występuje niedobór słodkiej wody przez wyczerpywanie się wody zaskórnej, czego nie równowagiłyby odsalanie wody morskiej jako czynności ekonomicznie nieopłacalne; faktem jest, że równowaga między dwutlenkiem węgla, wodą i parą wodną zależy od oceanów, a nawet one wykazują objawy zatrucia przez okrety, a przede wszystkim rzeki niosące ze sobą wszelkie nieczystości z ośrodków przemysłowych; faktem jest, że nie tylko spaliny, dym i odchody fabryk wynaturzają środowisko naturalne, ale czynią to również zle używane środki chemiczne nawet wtedy, kiedy stosowane są w najlepszej wierze; i faktem będzie podwojenie się liczby ludności na kuli ziemskiej już za lat 25. Już za 25 lat! Czyli Jan Kowalski, jeśli teraz liczy sobie 30 wlosen, stan ten obejmie swoim życiorysem jeszcze w wieku produkcyjnym i zetknięcie się z nim tak realnie jak obecnie ze świętą herbata, złym humorem kierownika i brakiem premii. Co oczywiście od Kowalskiego nie zależy, ale w jakiejś tam mikroskopijnej cząsteczce...

Więc mówię o tym warcie. Warto mówić w sposób konkretny, naoczny, nie budzący wątpliwości co do związku omawianego procesu z realiami codziennego życia. Jeśli urbanizacja, technizacja, kompilacja jest wynikiem rozwoju i podlega prawom ruchu nie w pełni dającego się opisać zamierzeniami człowieka, ograniczajmy przynajmniej jego ujemne „produkty uboczne”, które już z osłabieniem dzisiejszego standardu tak dokuczliwie dają się we znaki. Albowiem — jak stwierdza się dowodnie, choć nie bez paradoksu — nie tyle zagraża nam epidemia i katalizm, co życie w dostatkach.

A więc „kierunek na prymityw” — oto co powinniśmy podjąć w naszych zamierzeniach. Ograniczyć do minimum pas izolacji z przyrodą, izolacji wytworzonej wprawdzie jako nieodzowny rezultat technicznego po-

stępu, ale dającej się zmniejszyć celowym i sensownym działaniem. Bo w dzisiejszych warunkach zgoda z przyrodą musi być elementem społecznego programu, jak kiedyś była elementem spontanicznej praktyki indywidualnej i zbiorowej. A więc ochrona przyrody. Jakkolwiek brzmiał to sztampowo i nudnie, musimy się zgodzić, że slogan w dzisiejszych warunkach nabiera żywotności zawołania niebywale rzeczowego. Jak będziemy korzystać z lasów, jeśli to będą jeszcze w większym stopniu zarzucone celuloidowymi torebkami i puszkami, po konserwach? Jak z rzek, jeśli woda w lubelskiej Bystrzycy stężeniem i kolorem przypomina czarną kawę zwaną szatanem? Jak w ogóle z tak zwanego łona natury, jeśli do statystyk trzeba będzie wprowadzić ilość listków trawy przypadających na głowę ludności? Ochrona jest naszym obowiązkiem patriotycznym, ma nawet swoją tradycję historyczną. Nakaz ochrony bobra wydał jeszcze... Bolesław Chrobry. Zygmunt III Waza — zakaz polowania na tura. Władysław Jagiełło nie tylko zwyciężył pod Grunwaldem, ale zapisał się również jako kustosz polskiego drzewostanu: „Jeśliby kto wszedłszy w las, drzewa, które znajdują się być wielkiej ceny jako jest cis, albo im podobne podrąbał, tedy może być przez pana albo dziedzica pojman”. (Dane te przytaczam za Konradem Szewliwiczem z miesięcznika „Aura”).

Oczywiście zdaje sobie sprawę, że cienki głosik felietonu nie jest w stanie spowodować tu przemian odczuwalnych praktycznie, że na skutek tych paru wniosków i jednej propozycji „Chelmek” nie zacznie produkować łapci z brzozywej kory przepasanych lyklem, że nie zaczniemy hodować węży w wózkach dziecięcych razem z niemowlętami, ale tych kilka słów spełni swą rolę już wtedy, kiedy problem ochrony środowiska naturalnego Jan Kowalski uzna za ważny na równi z przysięgą premii, która warto otrzymać.

Kiedyś człowiek żył na gałęzi. Niech dziś postępowym technicznym jej nie podcina, bo właściwie dalej na niej siedzi.

Ijon



Rys. W. Fuglewicz



— Wiesz co Lolek powiedział? Że mam spojrzenia sarny!
Rys. S. Wielgus

KOCI PAZUR

Ziemowit Samożyciek

Różniane przekomarżania... Znów wypływa sprawa samochodu, Michał uważa, że byłoby to jeszcze jeden powód do kłótni...

(19)

— Przeszliśmy już mówić na ten temat. Lepiej zastanówmy się, gdzie spędzimy urlop. Wszystko zawsze odkładamy na ostatnią chwilę.

Rzeczywiście, racja tym razem była po jej stronie. Michał miał swoje plany, zwłaszcza że pozostał mu jeszcze tydzień urlopu z ubiegłego roku, ale wiedział też, że wspólny, rodzinny urlop go nie minie.

— Co był powiedziała o Bulgarii? — zapytał.

— I znówu będę musiała gotować obiady? Dziękuję bardzo. Już wolę wczasy krajowe z pełnym utrzymaniem.

— No to co? Dom Dziennikarza w Kazimierzu?

— Znakiomity pomysł: wszystkie wieczory w „Piekietku” przy wódzcie. Nie, to też nie dla mnie.

— Ale przecież nie musimy urządować w „Piekietku”!

— Dobry jesteś! Masa znajomych z całej Polski, których latami nie widziałeś. Okazji do popijawy ci nie zabraknie. No i do brydza też. A ja będę skazana na dziecko.

— W brydza mogłabyś się nauczyć grać. To nie trudnego.

— Daj spokój. Od Kazimierza wolę już Bulgarię.

— Wracasz do mojej propozycji.

— Tak, ale bez gotowania. Już dosyć mam tych konserw, stania w kolejkach i fajek w różnej postaci. No i „Słonecznego brzegu” po 3 lewa za butelkę — także.

— Widzę więc, że się nie dogadamy. Przemysł i powiedz mi później. Teraz cię przepraszam, muszę pójść na wieczór młodych twórców.

— Stądżebow, czy prywatnie?

— Michał roześmiał się.

— Sądziś, że prywatnie by mi się chciało? Mam z tego zrobić informację do Gazety.

Gdy przyszedł do muzeum, sala była już pełna. Przeważała młodzież, a ściślej dziewczęta. Ponieważ występowała spora grupka młodych poetów, można było przypuszczać, że większość spośród publiczności stanowiły narzeczone i sympatie prezydentów.

Spotkanie zagalą przewodniczący Kola Młodych, Baptysta Jan Zając. Nieco się zacinał, miał wyraźną tremę; było to jego bodaj pierwsze oficjalne wystąpienie.

Michał rozglądał się po sali. Zauważył tylko dwóch członków oddziału Związku Literatów Polskich, spośród nich jeden, Siejmiński był opiekunem kola.

Tymczasem zaczęły się już recytacje, a ściślej mówiąc lepsze czy gorsze odczytywanie wierszy przez samych autorów. Tak się jakoś składało, że im lepsze wiersze, tym gorzej były odczytywane. Dziennikarka z radia skwapliwie uchwyciła na taśmę magnetofonową utwór swego kolegi z Gazety, zapewne na zasadzie „Popierajmy się wzajemnie”. Pewne ożywienie wniósł Aleksy Różopolski, który odczytał dwa drapieżne wiersze poświęcone swojemu kolegom po piórze. Później znów było w miarę układnie. Po krótkiej przerwie rozpoczęła się dyskusja. Nie wiele jednak osób zostało na sali, toteż i wiele słów nie padło. Różopolski, który sam pirotek, jakby artykuły zaangażowane politycznie układał w schodki, bronił prawa do wierszy powszechnie niezrozumiałych, ktoś go próbował ganić, ale po kilku „wzwichenruchach” dyskusja została zamknięta. Michał odnotował jeszcze w zeszycie słowa dyrektora muzeum, który mówił o odpływie zdolnych ludzi do Warszawy. Nihil nobis pod słowem. Zając był zadowolony, że nie doszło do żadnej draki. I dlatego później popieprzenie poszedł na, tak sam mówił, wnio, by o ósmym rano znowi się do Różopolskiego, lekko go przy tym nastraszony.

Tej nocy Michał długo nie mógł zasnąć. Przypominał sobie słowa Mirki, jej krytyczne uwagi pod adresem prasy. „Ha — mówił sam do siebie — ja tego nie zmienię. Trzeba się dostosować do sytuacji. No tak, staniem się konformistą. Co się może zrobić z człowiekiem? Kiedyś miało się ideały, a teraz goni się za wierszówką. Pracuje się nie na jakość, ale na ilość. Zresztą same kierownictwo poniekąd zmusza do tego, jeśli nie różnicuje wyceny. Za dziesięć informacji można otrzymać tyle samo pieniędzy, co za pracochłonny raport...”

— Co mruyczysz pod nosem? — Usłyszał głos żony, która otworzyła drzwi do jego pokoju. — Nie możesz zasnąć? Ja się już zdecydowałam. Niech będzie ta Bułgaria.

— Ale konkretnie co? Warna. Złote Piaski, Słoneczny Brzeg?

— Nie, kochany, jeśli już Bułgaria, to jedynie Szopoli! Ale czy czytałeś w „Trybunie Ludu”, że w tym roku dwuosobowa kwatery drugiej kategorii ma kosztować aż 10 lewa za dobę? Człowieku, przecież lepiej wziąć namiot!

— I dźwigać go na plecach? Dziękuję serdecznie.

— Nie, nie może któryś z twoich kolegów jechać samochodem, moglibyśmy się razem zabrać.

— Owszem, ale z żoną i z dzieckiem, jak się pomieścimy? Chociaż, wiesz co? Jeden mój znajomy inżynier jedzie tylko z dziewczyną, tył będzie miał zapewne wolny. Pod warunkiem, że zachowamy pełną dyskrecję i nie o tym nie powiemy jego żonie.

— Rozmawiałeś z nim?

— Nie. I nie będę. Zartowałem przecież. Czy ty sądziś, że jeśli ktoś wyrzuci się z dziewczyną będzie sobie brał na kark małżeństwo z dzieckiem? Jeszcze mu tego potrzeba do pełni szczęścia.

— Ty byś też tak chętnie pojechał...

— Oczywiście. I chyba dlatego tak pragniesz, abym kupił samochód. Dobranoc. Jeśli chcesz, pojedziemy pociągłem.

— A bilety dostaniesz?

— Jeszcze jest trochę czasu. Spróbuję. Ostatecznie można samolotem.

— Chyba, że gdzieś dodatkowo zarobisz. Na mnie nie lic...

(oda)